



NA EKRANACH CANNES

wyświetlono m. in. film czechosłowacki „Linoskoczki”, z którego pochodzi powyższe zdjęcie. O Festiwalu w Cannes pisze Kazimierz Koźniewski, współtwórca filmu „Piątka z ulicy Barskiej”, odznaczonego Nagrodą Międzynarodową (ob. str. 2 i 3)

DNIA 2 KWIETNIA ROKU BIEŻĄCEGO...

Korespondencja własna „Świata” z Cannes:

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

DZIAŁO się to w Cannes, na Lazurowym Wybrzeżu, dnia 2 kwietnia roku 1954, podczas VII międzynarodowego festiwalu filmowego. Dzień był taki sam, jak wszystkie. Słońce wyrzało zza chmur dopiero koło południa, popołudnie było upalne, a wieczór już chłodny. Wiosna — piękna, lazurowa wiosna — dopiero się rozpoczynała. Gdy Czytelnicy „Świata” zobaczą w swym piśmie tę korespondencję z festiwalu — już dawno będą z prasy codziennej znali rezultaty wielkiej konfrontacji filmowej, będą wiedzieli kto nagrodę zdobył, a kto — i z jakich względów — został pominięty. Z komunikatów prasowych nie dowiedzą się jednak wielu ciekawych rzeczy jakie działy się w Cannes. Na przykład nie dowiedzą się nic o popołudniu i wieczorze 2 kwietnia. A ten dzień właśnie był bodajże jednym z najbardziej charakterystycznych dla całego festiwalu i konfrontacji, jaką komitet układający program projekcji może nawet mimo swej woli spowodował, okazała się wielce pouczająca. W niej właśnie zawarta została prawda o aktualnej sytuacji w kinematografii światowej. 2 kwietnia po południu obejrzelśmy film radziecki „Los Maryny”, wieczorem film meksykański „Chłopiec i mgła”.

PO POŁUDNIU: „LOS MARYNY”

Terenty, trzydziestoparoletni kołchoznik, wysłany został na akademickie studia uniwersyteckie. W kołchozie została jego żona Maryna i córka Galina. Kilkoletnie studia i zdobycie stopnia naukowego spowodowały

duże zmiany w życiu Terentego. Przede wszystkim zakochał się w córce profesora, młodej dziennikarce, i ukrył przed nią, że jest mężem i ojcem. Ta miłość oraz chęć pozostania w dużym mieście skłaniały go do podjęcia się pracy czysto naukowej. Udało mu się uzyskać przydział do pracowni uniwersyteckiej. Do swego kołchozu wraca po to tylko, by żonie oświadczyć, że teraz, gdy on zdobył wyższe wykształcenie, to ona, prosta chłopka, jest dla niego żoną nieodpowiednią, nie zna się na sprawach bardziej skomplikowanych, nie zna łaciny... Terenty sztucznie brzmiałymi argumentami, w które sam nie bardzo wierzy, usprawiedliwiał nie tylko swą miłość do młodej dziennikarki, ale coś więcej jeszcze — zrodzoną w nim podczas studiów pogardę dla wsi, dla prostej kobiety. Maryna zgadza się na rozwód, choć nie przestaje Terentego kochać, ale jej ambicja kobiety jest głęboko zdrażniona. Brygada jaką kieruje Maryna wprowadza pewne ulepszenia w hodowli buraków cukrowych i dzięki temu uzyskuje poważny sukces. Maryna zostaje — ona z kolei — skierowana na wyższe studia agrotechniczne. Uzyskuje dyplom, wraca do swej wsi, gdzie jako agronom kołchozu zdobywa dalsze sukcesy. Tymczasem ta sama dziennikarka, robiąc reportaż z przodującego kołchozu, odkrywa przypadkowo kłamstwo Terentego: on ma żonę! Zrywa z Terentym. Terenty podczas zjazdu kołchozników słyszy przemówienie Maryny. Teraz pragnie wrócić z Maryną do kołchozu. Ale Maryna już nie kocha Terentego. Zdobyła pozycję życiową i kto wie, może nawet znajduje szczęście osobiste w nowym związku małżeńskim.

Tyle streszczenie filmu, który pokazuje sprawę w życiu ludzi społeczeństwa socjalistycznego bardzo istotną. Jak dalece istotną — niech przyświadcza mi sędziowie dający rozwody i małżeństwa rozbite tym wielkim osiągnięciem społecznym jakim jest awans kulturalny. Film pokazuje, jak wielkie zmiany, zmiany dobroczynne, mogą powodować również i dramaty osobiste, i jak w społeczeństwie socjalistycznym dramat ten już nie jest dla kobiety tragedią łamiącą życie na zawsze.

WIECZOREM: „DZIECKO I MGŁA”

Film meksykański. Nakręcony przez jednego z najwybitniejszych operatorów światowej sławy: Gabriela Figueroz. W roli głównej Dolores del Rio — świetna artystka. A oto treść:

W rejonach naftowych w Pozo Rica, żyje inżynier Estrada z żoną Martą i synem Danielem. Małżonkowie się nienawidzą i walczą o odmienne wychowanie syna. Estrada dostrzegając jego nieprzeciętne zdolności matematyczne i obserwując słabą kondycję fizyczną — skłania Daniela do pracy naukowej, Marta — przeciwnie, czyni wszystko, żeby syn unikał wysiłku umysłowego, a tylko uprawiał ćwiczenia fizyczne, grał w piłkę, pływał, jeździł na motocyklu, do czego chłopak nie ma żadnej ochoty. Długo czas widzi nie pojmuje istoty konfliktu — również jak Estrada nie rozumie zachowania się Marty. Co się okazuje: matka Marty już szesnaście lat przebywa w zakładzie dla obłąkanych. Marta ukrywa to przed mężem. Jej siostra też była umysłowo chora i w ataku szału zabiła się. Marta, która wie, że jej syn jest lunatykiem — co też skrywa przed mężem — boi się dla niego jakiegokolwiek wysiłku umysłowego, nienawidzi więc męża, który nie znając tej tajemnicy skłania syna do nauki i pracy umysłowej. W pewnej chwili pojawia się dawny ukochany Marty. Odżywa stara miłość. Marta pragnie rozwodu, chce syna wychowywać sama, żyjąc z nowym ukochanym. Estrada nie zgadza się na rozwód, pragnie, by syn miał rodzinę. Wtedy Marta korzystając z somnambulicznych właściwości Daniela wkłada mu do ręki rewolwer i kaze zabić ojcę. Daniel przebudzony przypadkiem ze snu — zamiast zabić ojca strzela do siebie...

W Cannes był zwyczaj, że każda projekcja opatrzona była streszczeniem drukowanym na powielaczach. Streszczenie „Dziecka i mgły” kończy się takim zdaniem: „Straszny wypadek wywołał w Marcie zaburzenia umysłowe, lecz czas i cierpliwa opieka męża pozwoliły odzyskać spokój jej duszy zagubionej we mgle”.

Tyle streszczenie filmu, o którym powiedziano zaraz po projekcji, że mgła objęła nie tyle umysł Marty, co przede wszystkim reżysera. Pełen pseudonaukowych, zupełnie



„Dwa hektary ziemi” — film hinduski

KONFRONTACJA

Tyle streszczenia. Ale film to nie tylko fabuła — to jej realizacja w obrazach. I tutaj co się okazuje? Film prawdziwy, dotykający spraw najbardziej ludzkich, bardzo typowych i ważnych dla naszych (i nie tylko naszych — to jest budujących socjalizm) społeczeństw jest zrobiony zbyt mało dramatycznie, nazbyt statycznie — jednym słowem jako obraz filmowy mniej zaciekawia widzów. Natomiast zupełnie bzdurny, nieprawdziwy, obcy losom ludzkim film meksykański odznacza się dynamizmem akcji: jest dobrze zrobiony reżysersko. Ten dobry warsztat nie uratował meksykańskiego kiczu: opinia prasy i publiczności była jednomyślnie druzgocąca, ale przy-

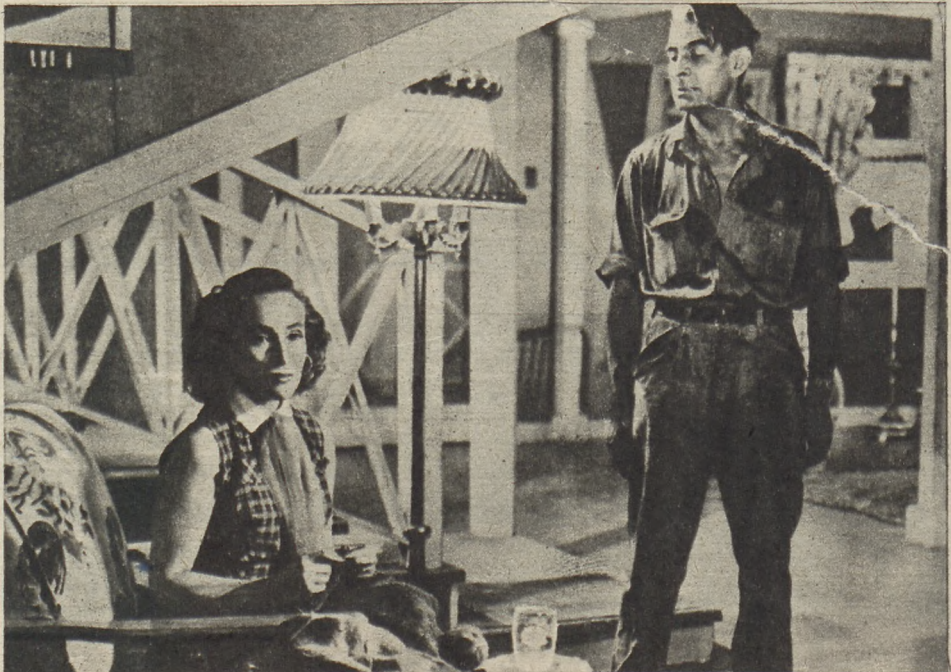
Scena z „Wielkiej Gry” —



Świetna młoda aktorka francuska Mari-
na Vlady w filmie „Przed potopem”



Dolores del Rio (Marta) i Pedro Lagar (Estrada) w filmie meksykańskim
„Dziecko i mgła”, pełnym bzdurnych, antynaukowych historii somnambulicznych.





Katarzyna Litwinenko jako Maryna (po lewej) w filmie radzieckim „Los Maryny”

pałkowa konfrontacja tych obrazów ukazała dwie linie kierunkowe.

Jeden kierunek na coraz to bardziej wymyślne zaciekanie widzów, zaskakiwanie psychiatryczną niezwykłością lub brutalnym naturalizmem. I drugi kierunek podnoszący wagę problemów naprawdę ludzkich, naprawdę ważnych. Tego rodzaju konfrontacja dwóch kierunków odbywała się na festiwalu stale, niemal codziennie. Ona zresztą była największą wartością tego VII festiwalu, na którym doszło do starcia się kinematografii postępowej, mówiącej o sprawach prawdziwych, z kinematografią reakcyjną, mówiącą o sprawach wyjątkowych, skłamanych, chorych. Gdy jedna kinematografia interesuje się życiem — druga interesuje się chorobą, i to bynajmniej nie z intencją jej uzdrowienia, ale wyłącznie zadziwiania nią widzów. To właśnie linia, jaka oddziela wielkie dzieło francuskie „Przed potopem” od reklamowego kiczu, też francuskiego — „Wielkiej gry”.

Gina Lolobrigida i Jean Claude Pascal



„Przed potopem” — to dzieje garstki młodych zbrodniarzy omanianych stale na Zachodzie podsyconą paniką wojenną, paniką nieuchronnej wojny. „Wielka gra” — to historia nieszczęśliwej miłości żołnierza Legii Cudzoziemskiej do dwóch identycznie podobnych, przez niego utożsamianych i przez tę samą artystkę granych, kobiet. To właśnie linia, jaka oddziela „Przed potopem”, w którym wojna na Korei jest wielką moralną katastrofą, od filmu hiszpańskiego „W Grenadzie wszystko możliwe”, gdzie Korea i bomba „H” są przedmiotem kiepskich dowcipów, z których ma wynikać, że wiara w cuda silniejsza jest nawet od bomby atomowej.

Takich linii na festiwalu wytyczono wiele. I publiczność nie dała się oszukać. Najwyższe uznanie właśnie zdobywały filmy postępowe. Ale postępowe filmy nie tworzyły grupy jednolitej. Jedna — to filmy postępowe robione w krajach kapitalistycznych: te są wyłącznie i przede wszystkim oskarżeniem ustroju o nędzę, poniewierkę, nieszczęścia (film brytyjski „Zew morza”, hinduski „Dwa hektary ziemi”). Drugą grupę tworzą filmy produkowane w krajach budujących socjalizm i w Związku Radzieckim — te ukazują już wartości pozytywne nowego ustroju. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Ta druga grupa filmów postępowych jest niezadowolająca jeżeli chodzi o istotny walor filmowy: o napięcie dramatyczne akcji. To nie jest prawda, że zbrodnia jest bardziej fotogeniczna niż twórczość, choroba bardziej niż zdrowie. Dyskusja o dramaturgii i bezkonfliktowości wydawać zaczyna owoce — właśnie „Los Maryny”, ale sprawa nie jest jeszcze przeprowadzona do końca. To nie jest łatwe, gdyż każdy film o zbrodni, o nędzy, o chorobie — ma doświadczenie sztuki wielu stuleci, natomiast każdy film o socjalistycznej pracy, socjalistycznej moralności — ma doświadczenie lat kilkunastu zaledwie. Mimo to nasza literatura, dramaturgia, kinematografia muszą uczynić wielki i poważny wysiłek, by ludzka, rzetelna treść naszych filmów wyrażona była w najdoskonalszej formie artystycznej. A do tego potrzebna jest rzetelna troska o wartką dramaturgię obrazów i o najprawdziwszy rysunek psychologiczny bohaterów.

Takie myśli snuły mi się po głowie, gdy m zaczadzoną mgłą filmu meksykańskiego wracać późną nocą do mego hotelu. Powietrze było rześkie i chłodne...

Christian Fourcade w filmie amerykańskim „Mały zgubiony chłopiec”



SWIAT NASZA KRONIKA

WOJSKOWI amerykańscy opracowują nową strategię wojenną. Nazywają ją globalną, gdyż wychodzi ona z założenia, iż ewentualna przyszła wojna, którą chcieliby wywołać, objęłaby całą naszą kulę ziemską. Ostatnie manewry z bombą wodorową, odbywające się na Oceanie, jak na ironię noszącym nazwę Spokojnego, stanowią część owej „globalnej strategii”. Amerykańscy propagandyści robią wiele hałasu wokół tych wybuchów, usiłując przy ich pomocy zastraszyć własny naród i całą ludzkość.

Rzeczywiście te niebezpieczne zabawy obudziły czujność całego świata. W Anglii i w Indiach, Japonii, Australii i we Francji, w wielu stronach i krajach świata przeciwko amerykańskim pomysłom protestują już nie tylko prości ludzie, ale protestują również rządy i parlamenty. Szaleństwo polega na tym, że u podstaw strategii globalnej leży fundamentalna pomyłka: Stany Zjednoczone leżą również na naszym globie. Owo globalne założenie z natury rzeczy przyjmując, że Stany Zjednoczone stać się muszą terenem, którego działania wojenne nie ominą.

Zatem amerykańskie demonstracje na Oceanie Spokojnym nie są to demonstracje siły, ale demonstracje słabości. Słabość ta polega na fakcie, że Stany Zjednoczone nie są jedynym posiadaczem bomby atomowej i wodorowej. Ładnie byśmy wyglądali, gdyby tak było! Jak wiadomo, bombę wodorową posiada również Związek Radziecki. Związek Radziecki nie potrzęsa posiadaną bronią przed milionami mieszkańców naszej planety i niczym im nie grozi. Związek Radziecki, który nie ustępuje Stanom Zjednoczonym w najnowocześniejszym uzbrojeniu, nawołuje już od lat do przyjęcia zakazu używania środków masowej zagłady. Te propozycje były stale brutalnie odrzucane przez polityków Waszyngtonu.

Nie ma więc, jak dotychczas, zakazu w dziedzinie bomb atomowych i wodorowych. Nie ma również mowy o tym, by świat miał zamiar paść na kolana przed wszelkimi zamiarami Dullesa i MacCarthy'ego w imieniu samej groźby użycia przez nich bomby atomowej czy też wodorowej. Nie ma mowy, by narody uległy szantażowi. Narody mają swoją ambicję, swoje dążenia, swoją wolę życia, narody wreszcie mają w postaci sił Związku Radzieckiego obrońcę, zdolnego do stawienia czoła amerykańskiemu szaleńcom. Nie ma monopolu atomowego, nie ma monopolu wodorowego.

NIE MNIEJ ta pewność, że na siłę jest siła, nie może nas usprawiedliwiać przed rozbrajaniem naszej czujności. Sprawa jest jasna i musi ją zrozumieć naród amerykański: kto dziś temu narodowi mówi, iż wojna dla niego oznaczać może tylko nowe zyski (nigdy zresztą nie były to zyski dla narodu, tylko dla garstki monopolistów), ten jest jednym z

największych oszustów w dziejach. Wojna — to dla Amerykanów oznacza — jak zresztą stwierdza sam ich sztab generalny — to, co oznacza to słowo i dla innych narodów.

Już wyprawa koreańska dowiodła, że sprawa niełatwa z narodem walczącym o wolność. Nie taka łatwa sprawa z większą liczbą narodów — nawet przy pomocy bomby wodorowej. Zresztą to ustawiczne powiększanie siły wybuchu tych bomb do niczego w rezultacie nie prowadzi. Wypowiedzi na ten temat polityków amerykańskich zaczynają przypominać scholastyczne spory toczono w średniowieczu. Pytano wówczas:

— Czy Pan Bóg może stworzyć tak wielki kamień, którego nie mógłby podnieść?

Jeśli nie może — to znaczy, że nie jest wszechmocny. Ale jeśli może i stworzyłby taki kamień i nie mógł go podnieść, to również znaczyłoby, że nie jest wszechmocny. Więc co to wszystko razem znaczy?

Amerykanie zawiadamiają się wzajemnie, że przy pomocy bomby wodorowej można za jednym zamachem zniszczyć dziesięć milionów miasto, jak na przykład Nowy Jork. Kłopoty byłyby tylko — jak uroczo powiedział jeden z dygnitarzy amerykańskich — z pochwianiem za jednym zamachem tak sporej liczby osób. Byłby to na pewno nowy rekord tego kraju wszelkich rekordów: rekordowy pogrzeb.

Otóż choć Amerykanie nie są Panem Bogiem, ale zaczynają się głowić, czy można wyprodukować taką bombę, przy której pomocy cała nasza ziemia wyleciałaby w powietrze, a właściwie w bezpowietrzną przestrzeń międzyplanetarną. Co jednak sądzić o ludziach, w których jak gdyby zagnął już instynkt życia, a pozostał tylko żarliwy instynkt zysku?

Tak więc wojna jakby stała się bzdurą. Nie znaczy to znów, by nie trzeba było czuwać nad sprawą pokoju. Trzeba i należy. Czujność narodów niewątpliwie paraliżuje zamiary wrogów pokoju. Wybuchy na Oceanie Spokojnym budzą z uspienia tych, którzy dotychczas jeszcze spali. Opinia świata coraz bardziej całkowicie zwraca się przeciwko szaleńcom.

ATERAZ, gdziekolwiek jesteś, kimkolwiek jesteś, mój Czytelniku, wyrzycij przez swoje miejskie okno, wyjdź przed swój wiejski dom. Ogarnij, ile siły oczu starczy, ten kawałek naszego pięknego świata, w którym żyjemy i który zmieniamy. Posłuchaj własnego serca, bijącego w piersi. To bije serce świata. Nasze serca są sercami świata. Tej wspaniałej konstrukcji przyrody, do której i my należymy.

Odetchnij głęboko. Daleko od nas nasi wrogowie. Knują i spiskują przeciwko nam, by wydrzeć nam życie. Czy czujesz siłę swego życia? Czujesz? Nie ma takiej siły, która by potrafiła zwyciężyć siłę życia dwóch miliardów ludzi.

JAN SZELAĞ

W PIĄTĄ ROCZNICĘ PIERWSZEGO ŚWIATOWEGO KONGRESU OBRONCÓW POKOJU

CODZIENNIE koło godziny trzeciej po południu w mojej klasnej kłitce na czwartym piętrze „chambres meublées” gasło światło. Ten umówiony sygnał podawany z dyżurki na parterze przez głuchego „conclerge’a” nazwiskiem Bruneau lub przez jego maszynę, nadmierne rozmowną żonę, podrywał mnie na nogi. Pędem zbiegałem po mrocznych, wąskich schodach, unosząc kartki papieru z treścią wiadomości, które miałem przedyskutować.

W telefonicznej słuchawce brzęczał głos warszawskiej maszynistki, powtarzającej listerowane przeze mnie mozolnie obce nazwy miast i nazwiska. Pani Bruneau podczas mojej rozmowy przerywała pracę. Jej maszyna do szycia milczała wtenczas, ona sama zaś w ciągu tych kilku minut wymyślała mężowi w westybulu, przeganiała z komody dwa opasłe, bure koty, odnajdywała na ulicy swego sześciolatniego wnuczka, imieniem Pierre. Niekiedy wolnym uchem łowiłem jej okrzyki:

— Znow wybiegłeś na ulicę bez butów?! Co

ludzie na to powiedzą? Ze starzy Bruneau nie mają już na buty dla wnuka? Taki wstyd!

Jeszcze gderala w dyżurce, obuwaną malego. Spoglądała przy tym na mnie, czy przypadkiem mi nie przeszkadza. Kiedy kończyłem rozmowę, pytała:

— Jaka dziś pogoda w Warszawie? Czy też słońce?

— Tak, słońce — odpowiadałem na chybił trafił, gdyż nie zawsze pamiętałem, żeby zagadnąć maszynistkę o tę tak istotną sprawę.

Pracowałem wówczas jako paryski korespondent „Polskiego Radia”. Telefoniczne rozmowy z Warszawą, wchodzące w zakres moich obowiązków, budziły dla mnie u „conclerge’ów” znaczny szacunek. Stary dozorca zamiatając schody nigdy nie umieszczał śmieci pod moimi drzwiami. Jak to chętnie czynił innym lokatorom. Poczęstowany papierosem czuł się zobowiązany do wygłoszenia kilku zdań na temat pogody lub drożyzny. On sam był raczej nieśmiały i zamknięty w sobie, czego przyczyna tkwiła zapewne w jego głuchocie. Pani Bruneau natomiast nie szczędziła mi

zwierzeń. Dzięki niej wkrótce znalazłem już, choć co prawda dość pobieżnie, życie prywatne większości lokatorów „chambres meublées” oraz najbliższych sąsiadów. Była to uboga dzielnica, położona na peryferiach Quartier Latin. Ulice spleśniały się tutaj, baldachimy sklepów, osłaniające witryny przed natarciwością słońca, spływały ukośnie nad trotuary. Gdy spadł deszcz, woda wartko rwała jezdnią i pieniała się niczym w górskich potokach.

Rychło telefony z Warszawy na parę dni umilkły.

— Nie było dziś telefonu do pana — mówiła pani Bruneau z naganą w głosie, kiedy wieczorem brałem z portierni klucz od pokoju.

— Tak, nie było — zgodziłem się z nią, nie wiedząc, jak ułagodzić jej podrażnioną ambicję.

Opowiadałem, że teraz, podczas trwania Światowego Kongresu Obronców Pokoju, nadają transmisje z obrad wprost z radiowego studia, kablem — i telefony są chwilowo niepotrzebne.

Była druga połowa kwietnia 1940 roku, Jni słoneczne i ciepłe niemal jak w czerwcu. W Paryżu odbywał się Kongres, który miał umocnić sprawę pokoju na świecie, miał decydująco wpłynąć na znany już dzisiaj olbrzymi wzrost światowego ruchu obrońców pokoju.

Jednak pani Bruneau, jak wielu wówczas ludzi na Zachodzie, nie rozumiała istotnej treści współczesnej walki o pokój.

— Na to szkoda telefonu — mówiła do mnie z niechęcią. — Pewien szofer opowiadał, że w sali Pleyela obradują komuniści...

Tłumaczyłem jej, iż są tam równie duchowni różnych wyznań, lecz że trafilem, gdyż pani Bruneau była niewierząca.

— Co pan sobie myśli?! — wykrzyknęła. — Ja mam reumatyzm, a mój stary też ledwie łązi! I co tu kto pomoże? Duchowny czy komunistą...

Moje „akcje” gwałtownie spadły. Dozorczyni ledwie odpowiadała na moje ukłony, jej mąż zaś raz i drugi zebrał śmiecie ze schodów pod moim progiem. Biegając czym prędzej do pokoju uchodziłem agryźliwym spojrzeniem państwa Bruneau, jakich mi nie szczędził. Byłem tak podekscytowany tysiącem wrażeń i tak zapracowany... W tych porywających chwilach na nic nie miałem czasu, a najbardziej chyba na to, żeby w jakikolwiek sposób ułagodzić „conclerge’ów”.

W niedzielę na stadionie Buffalo Paryż i Francja wyznaczili sobie spotkanie z delegatami na Kongres Pokoju. Ta słoneczna niedziela, błękitna bezchmurnym niebem, kończyła Kongres, stanowiąc jednocześnie jego kulminacyjny punkt. Ulice wiodące do stadionu zatłoczone były ludźmi oraz samochodami. Spocony i zziębnięty krażyłem między stadionem, gdzie wśród śpiewu i tańca odbywała się przepiękna manifestacja, a radiowym studio, położonym na drugim krancu miasta. Transmisja wypadła niezłe, choć oczywiście nie tak, jak sobie tego życzyłem. Trudno było przekazywać pośpiesznie skłconymi słowami wszelkie barwy, okrzyki, cały ów zapal, wiarę, entuzjazm, jakie ogarnęły wieleset tysięcy ludzi. W każdym razie czystkowy obraz manifestacji udało mi się stworzyć.

Po transmisji wróciłem jeszcze na stadion. Samochód odesłałem. Z Buffalo płynęły ludzkie fale, w tłumie zgubiłem kolegów, zostałem sam. Nad miastem ciemniało wiosenne niebo, spływał wieczór zamykając piękny dzień. Nagle poczułem, jak bardzo jestem zmęczony. Wsiadłem do metra. Pociąg rozbrzmiewał pieśniami z Buffalo. Próbowałem przyłączyć się do chóru, choć nie znałem francuskich słów. Wyszedszy ze stacji Cardinal Lemoine zatrzymałem się na cichej ulicy. Upał minął, powietrze było świeże i ostre, chłonałem je z rozkoszą.

Grupa ludzi znow wybiegła z podziemia. Najwidoczniej szedł następny pociąg. Otoczony przybyszami zbliżałem się do domu. Przed bramą odłączyłem się od grupy. Za mną podążały jeszcze dwie osoby. Obejrzałem się... państwo Bruneau... Obydwójce spoceni, ona potargana i zaczerwieniona.

— Z Buffalo? — zagadnąłem ich nieśmiało. Pani Bruneau skinęła wyniośle głową. Wszedłszy do portierni ona i jej mąż ciężko opadli na krzesła.

— Och, moje nogi — jęczała kobieta. Zdziwiony i zaskoczony milczałem.

— Pan nic nie mówił o tej matce — rzekła surowo pani Bruneau.

— O jakiej matce? — spytałem, nie rozumiejąc.

— No o tej, co u tych komunistów, w Pleyelu, przemawiała. Co to jej córkę i syna zabił...

Zrozumiałem: mówiła o delegacie na Kongres, towarzysze Kosmodemiańskiej, matce poległych w walce z hitleryzmem dwojga swych dzieci, Zoi i Szury. Kosmodemiańska wygłosiła na Kongresie piękne, wzruszające przemówienie.

— Ej, panie — westchnęła „konsjerjka”. — Mojego syna też rozstrzelali... Został Pierre, matka jego za pracą, na Nordzie... Wojna to straszliwe draństwo. Nasz Romain pisał przeciw wojnie, przemawiał, pamiętam, jak dziś. Nic jednak to nie pomogło: wojna wybuchła... Ale żeby matki przemawiały? To i ja mogłam tam mówić o naszym chłopcu? No nie, stary? Mogłam?

Dozorca drzemał. Szarpnięty przez żonę raptownie się ocknął i machinalnie jej przytaknął.

— Żaden człowiek nie chce wojny — westchnęła pani Bruneau.

Poruszony jej słowami zacząłem opowiadać o artykule ogłoszonym ostatnio w „Les Lettres Françaises” na temat Kongresu. Mottem owego artykułu stanowił cytat z Romainem Rollandem o prawych ludziach, którzy wciągając się w zwyczaj pociągają za sobą innych. Pani Bruneau poczęstowała mnie kawą. Wyjęła z szafy „Colas Breugnon”.

— To nasz Romain — rzekła. — On umiał mówić za innych. Bo serce matki czuje, lecz nie potrafi tego wyrazić...

Kiedy już byłem na schodach, Pani Bruneau wychyliła się z portierni i zawołała:

— A czy jutro będzie telefon do pana?

— Będzie — odpowiedziałem.

PAMIĘCI
BOHATERÓW
GETTA

19 kwietnia mija jedenasta rocznica bohaterskiego powstania w getcie warszawskim. Reprodukowane poniżej rysunki Zbigniewa Lachura obok tragicznych scen eksterminacji Żydów warszawskich ukazują bohaterski zryw żydowskich organizacji bojowych, które z bronią w ręku powitały wkraczające do getta kohorty hitlerowskich oprawców. Bohaterskim powstańcem żydowskim przysły wówczas z pomocą oddziały Gwardii Ludowej.



Ostatnia droga



Bojowniczka powstania w getcie warszawskim



Z ostatnich dni powstania w getcie warszawskim



PORTO-RICO

„CZARNY PUNKT NA ŚWIATOWEJ MAPIE GŁODU”

RZECZ działa się 1 marca 1954 r. O godzinie 14.20 czasu amerykańskiego Izba Reprezentantów Stanów Zjednoczonych przystępuje do głosowania nad projektem ustawy wymierzonej przeciwko robotnikom meksykańskim w USA. Członkowie Izby gawędzą beztrosko, czytają gazety. Nagle z galerii dla publiczności padają strzały. Jakiś głos kobiecy wykrzykuje: „Wolności dla Porto-Rico!” Prerażeni kongresmani rzucają się ku drzwiom, część pada na podłogę. Straż kongresowa otacza galerię, skąd nadal ten sam głos wznosi okrzyki: „Wolności dla Porto-Rico!”

Był to głos 33-letniej nacjonalistki portorykańskiej, Lolity Lebron, która wraz z czterema innymi rodakami pragnęła przez swój rozpaczliwy czyn zwrócić uwagę międzynarodowej opinii publicznej na krzywdy, jakie od dziesiętków lat wyrządza jej małemu narodowi imperializm amerykański. W areszcie znaleziono przy niej list następującej treści:

„Przed Bogiem i przed ludźmi krewno moja żądam niepodległości dla Porto-Rico. Oddaję swoje życie dla mojego kraju. List ten niech będzie głosem zwycięstwa w naszej walce o niepodległość, w walce, która od pół wieku służy oswobodzeniu ziemi naszych przodków. Stwierdzam, że Stany Zjednoczone zdradzają święte zasady praw człowieka, trzymając mój kraj pod butem, że Stany Zjednoczone gwałcą nasze prawa do wolności, poddając barbarzyńskim torturom naszego bohatera narodowego, don Pedro Albizu Camposa”.

Prasa zachodnia, która opublikowała te słowa nie odstępowała — rzecz jasna — przed czytelnikami obrazu tragedii, jaką od 55 lat przeżywa naród portorykański.

Cóż się dzieje na owej małej wysepce na morzu Karaibskim, zamieszkałej przez 2 miliony 250 tysięcy mieszkańców?

Porto-Rico (od roku 1951 Puerto Rico) oznacza w języku hiszpańskim bogaty port, mieszkańcy zaś nazywają swoją wyspę „krajem wiecznej wiosny”. Łagodny, zdrowy klimat, żyzna ziemia, pracowitość narodu stanowią spłot warunków, umożliwiających życie w dostatku. Rzeczywistość jednak jest zupełnie inna. Brazylijski uczyony, dyrektor organizacji żywienia przy ONZ, Josue da Castro, w swojej książce „Geografia głodu” nazywa Porto-Rico „czarnym punktem na światowej mapie głodu”, ponieważ połowa ludności wyspy pozbawiona jest podstawowych środków do życia.

Jakie są przyczyny takiej sytuacji?

Tragedia narodu portorykańskiego rozpoczęła się w roku 1898, gdy wojska amerykańskie wylądowały na wyspie. Od tego czasu ustanowiono w Porto-Rico ostry reżim okupacyjny. Kapitaliści amerykańscy, nie licząc się z potrzebami ludności, zawładnęli 80 procentami uprawnej ziemi, przeznaczając ją prawie wyłącznie pod uprawę trzciny cukrowej, czego wymagały interesy gospodarki Stanów Zjednoczonych. Ziemię nie nadającą się pod uprawę trzciny oddano na plantację tytoniu i kawy. Wskutek takiego dyktatu w sprawie zasiewów ludność wyspy musi sprowadzać (oczywiście ze Stanów Zjednoczonych) wszystkie potrzebne jej do życia artykuły rolnicze. Nie licząc zysków z importu Porto-Rico, kapitaliści amerykańscy uzyskali w dziesięcioleciu 1942—1951 około 200 milionów dolarów z bezpośredniej eksploatacji bogactw kraju. Memoriał KP Porto-Rico do ONZ dotyczący wyzysku kolonialnego wyspy przez USA (z memoriału tego czerpiemy nasze informacje) podaje również, że za artykuły importowane z USA ludność musi płacić ceny o wiele wyższe od ustalonych na rynku światowym. Portorykańscy przepłacają rocznie np. na samym ryżu 1 milion 220 tysięcy dolarów.

Lecz wyzysk ludności ma szerszy jeszcze zasięg. Stany Zjednoczone narzucają temu małemu krajowi swoje ceny, oczywiście bardzo niskie, na cukier, który tu zakupują. Cukier nie jest rafinowany na miejscu, ale w Stanach Zjednoczonych, co stanowi dodatkowe źródło dochodu kapitalistów. Straty, jakie Porto-Rico ponosi z tego tytułu, wynoszą ok. 40 milionów dolarów rocznie. Podczas drugiej wojny światowej ceny wszelkich artykułów żywnościowych były wysokie, Portorykańscy natomiast zmuszeni byli sprzedawać swój cukier po tej samej co przed wojną cenie. Portorykański cukier, importowany do USA, sprzedawany był przez importerów po cenach przystosowanych do cen innych artykułów na tamtejszym rynku. Straty, jakie Porto-Rico znowu poniosło wskutek podobnej formy wyzysku, wyniosły w okresie wojny ok. 300 mln. dolarów.

Wyzysk amerykański doprowadził mieszkańców wyspy do skrajnej nędzy

i dlatego Portorykańscy coraz energiczniej występują przeciwko okupantom, domagając się całkowitej niezawisłości. Wojska amerykańskie ustanowiły na wyspie rządy terroru, usiłując nie dopuścić do wzrostu ruchu narodowo-wyzwoleńczego. Więzienia wypełnione patriotami, wśród których znajduje się przywódca Partii Narodowej, wspomniany w liście Lolity Lebron — dr Pedro Albizu Campos, który wskutek nieludzkich tortur, jakim poddany był w więzieniu, postradał zmysły.

Strzały w amerykańskiej Izbie Reprezentantów padły z rąk osób nie należących do Partii Komunistycznej, która jest przeciwna stosowaniu terroru indywidualnego. Niemniej posłużyły one policji jako pretekst do wzmożenia prześladowania KP i jej działaczy. Wszczęto poszukiwania sekretarza generalnego partii Cesar Andreu Inglesi i przewodniczącego partii Juan Santos Rivera. Równocześnie wojska kolonialne urządzają w różnych punktach wyspy, a przede wszystkim w stolicy — San Juan, masowe oblavy, aresztując każdego podejrzanego o sympatyzowanie z przybierającym na sile ruchem narodowo-wyzwoleńczym.

Tego rodzaju „lapanki” nie są zresztą rzadkością w historii dzielnego narodu portorykańskiego. Zarówno w okresie międzywojennym, jak i po wojnie, Jankeci dokonywali masowych aresztowań, nie przebiegając przy tym w środkach. W czasie takich oblów żoldacy bez żadnego powodu otwierali ogień do spokojnej ludności. Sytuacja na wyspie była już przedmiotem obrad Rady Powierniczej ONZ na jej ostatniej sesji w listopadzie 1953 r. Stany Zjednoczone, obawiając się, że sprawa terroru i kolonialnego wyzysku Porto-Rico może być

przedmiotem obrad ONZ, nadały wyspie fikcyjną konstytucję, która faktycznie jeszcze bardziej związuje ją z USA. Pod pretekstem więc, że Porto Rico jest krajem „samodzielnym”, Waszyngton odmówił składania sprawozdań Radzie Powierniczej o sytuacji w okupowanym kraju. Przeciwno temu zaprotestował ostro naród portorykański, a przede wszystkim Partia Komunistyczna, która w obszernym memoriale, powołującym się na przepisy prawne wydane przez amerykańskie władze kolonialne, wskazała, że Porto-Rico było i jest nadal kolonią Waszyngtonu.

W obronie wyzyskiwanego ludu portorykańskiego na forum Rady Powierniczej wystąpił m. in. delegat Polski, który wskazał na nieludzki wyzysk ludności przez miliardów z Wall Street i zażądał, aby Rada Powiernicza ONZ, zgodnie z faktycznym stanem prawnym wyspy, zainteresowała się sytuacją w Porto-Rico. Mechaniczna większość amerykańska w ONZ uznała jednak amerykański punkt widzenia, zwalniając Stany Zjednoczone od obowiązku składania sprawozdań.

Decyzja ta wywołała wielkie oburzenie wśród Portorykańczyków, zarówno w kraju ojczystym, jak i w Stanach Zjednoczonych, gdzie liczba ich sięga 700.000 osób, oraz przyczyniła się do dalszego wzrostu ruchu narodowo-wyzwoleńczego, w którym czołową rolę odgrywa Komunistyczna Partia Porto-Rico. Partia, potępiając akty indywidualnego terroru, wzywa naród do zorganizowanej walki przeciwko okupantom. Wokół Partii Komunistycznej skupiają się coraz szersze rzesze patriotów, widząc w niej niezawodną i nieugiętą orędowniczką sprawę ogólnonarodowej.

ARTUR HERMAN

Oto „domy” robotników rolnych w Porto-Rico, kraju wyzyskiwanym przez USA...



„Lapanki” nie są rzadkością w historii Porto-Rico: zarówno w okresie międzywojennym, jak i po wojnie, żoldacy amerykańscy dokonywali masowych aresztowań...





„Tematy biorę z tego, co się przed oczami dzieje” — mówi nam Józef Hulka



„Pracznia” — rzeźba w drzewie



„Kosiarka” — rzeźba w drzewie



„Kobieta niosąca wodę”

TRZY PRACE JÓZEFA HULKI Z LĘKAWICY NA PODHALU

Napisały: WANDA BODALSKA I WANDA MOSSOCZY

TWORZY POLSKA WIEŚ...

Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI I E. KOZŁOWSKA

RÓZSIANI po dalekich wioskach, wprężeni w codzienny rytm pracy zawodowej mają myśl wiecznie zaprątniętą jakimś marzeniem, wizją, którą pragnęliby przyoblec w realny kształt. Chwytają się najprostszymi środkami, posługując się najbardziej prymitywnymi narzędziami i w kawałku drewna, w gipsie czy nawet w cieście, malowidłem na szkle, wycinanką z papieru, wzorem w tkaninie ucieleśniają swą myśl. Czerpią tematy z tego, co się wokół nich dzieje, z własnego życia i życia swej wsi. Głęboko tkwią w nich nieraz tradycje całych pokoleń.

Rodzice, sąsiedzi, znajomi mówią, że w nich coś „wlało”. Niektórzy się zżymają, inni dziwią — ale nad stworzonym dziełem wszyscy zgodnie kiwają głowami z uznaniem.

W listopadzie 1952 roku przez prasę, radio, organizacje masowe — dotarła do wiejskich artystów wiadomość, która wywołała wśród nich wielkie poruszenie. Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki, Związkiem Młodzieży Polskiej, Towarzystwem Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i Związ-

kiem Polskich Artystów Plastyków ogłosił konkurs pod hasłem: „Dziś i Wczoraj wsi polskiej — w samorodnej twórczości plastycznej chłopów”.

Wiejscy plastycy-amatorzy właściwie zrozumieli cel konkursu, którym było poparcie samorodnej twórczości chłopskiej i otoczenie szczególną opieką i pomocą najbardziej utalentowanych spośród nich.

200 artystów-chłopów nadesłało na konkurs łącznie blisko 800 prac. Do Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej nadchodziły dziesiątki listów. Niezgrabnie skłcone zdania mówiły szczerze, bezpośrednio o tym, kim są uczestnicy konkursu, co czują, co tworzą.

Stanisław Kalemba, 45-letni chłop matorolny ze wsi Boratyn w powiecie jarosławskim, tak opisuje swój „Obrazek na desce lipowej. płaskorzeźba”. „Na obrazku jest przedstawione — obszarnik, dziedzic przedwojenny i chłop biedota, który poszukuje pracy. Tak nisko musiał się kłaniać i z pokorą pana dziedzica całować w rękę, z czapką do samej ziemi i prosić o pracę.

„Na obrazku drugim widzimy tego samego chłopca, tylko już bez jaśnie dziedzica; tu już nie prosi nikogo o pracę i nie całuje ręki, bo teraz w Polsce Ludowej jest życie inne dla

niego. Teraz otrzymał grunt z reformy rolnej, który należał do jaśnie pana dziedzica, i jako wzorowy obywatel został przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej, która mieści się w budynku dworskim jaśnie pana dziedzica”.

Inny list zaczyna się od słów: „Otoż ja, Szkodziński Tadeusz, ze wsi Liszna, p-ta Sławatycze, powiat Biała-Podlaska, jako twórca sztuki ludowej, rzeźbiarz samouk, wystawiłem dwie paczki na wystawie, na konkurs Wsi Wczoraj i Dziś. W tych paczkach były rozłożone rzeczy z cyklu: żniwa we wsi mojej, od sierpa do traktora. Jeżeli się nadadzą na wystawie, proszę wybaczyć i wyrozumieć, że bez nauki i narzędzi rzeźbiarskich, a tylko przezważnie nożykiem, koziukiem z sierpa starego, rozklepanym przeze mnie, rzeźbione”.

W następnym liście Szkodziński pisze: „Jestem z 1915 rocznika, a chęci i zapału do rzeźby te same, co u młodego, lecz lata może przeszkadzają? A jednak proszę bardzo, podajcie rękę i poprowadźcie mnie, nauczcie rzeźby w drzewie i gipsie”.

Jego rzeźba „Kobieta z sierpem” została nagrodzona przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Gdy na zaproszenie ZG ZSCH stukilkudziesięciu uczestników konkursu przybyło z odległych wsi do Warszawy, dużo i chętnie mówili oni o swym życiu i pracy, o swym umiłowaniu sztuki, dzielili się wzajemnie swoimi wrażeniami.

75-letnia Maria Konopka ze wsi Tata-ry, powiat Ostrołęka — dała na wystawę śliczne wycinanki i rzeźby wykonane wedle tradycji kurpiowskich — z ciasta. Otrzymała za tę pracę pierwszą nagrodę w swym życiu.

— Po tylu latach życia spotkało mnie takie uszanowanie — mówi Maria Konopka. — Moimi wycinankami zawsze przyozdabiałam tylko mój dom. Teraz wszyscy oglądają je na wystawie w stolicy. A i do mnie do Tatar przyjeżdżają wycieczki, by obejrzeć nasze kurpiowskie wycinanki. Moja 28-letnia córka Cesia jeździ raz na miesiąc do Warszawy do Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Rysuje, przez dwa tygodnie zarabia 500 złotych i do tego po 21 złotych diet dziennie. W naszej wsi nauczyła wycin-karstwa 40 kobiet.

Władysław Miłal ze wsi Brzozówka, powiat Rzeszów, ma 47 lat.

— Za wcześniej się urodziłem — powiada. Dla siebie już nie spodziewam się zbyt wiele, ale mam córeczkę Zosię. Rysuje pięknie; ona mnie prześcignie, ona będzie mogła się uczyć nie tak, jak ja.

Na otwartej z końcem stycznia br. w siedzibie ZG ZSCH w Warszawie pokon-

DZIECIARNIA WIEJSKA ZAWSZE CHĘTNIE PRZYPATRUJE SIĘ PRACY JÓZEFA HULKI. ZE ZWYKŁYCH KŁOCKÓW DREWNIANYCH POTRAFI ZROBIĆ



kursowej wystawie zgromadzono prawie 200 najlepszych prac obrazujących samorodną twórczość ludową w zakresie malarstwa, malowideł na szkle, wycinanek, koronkarstwa, ceramiki, tkactwa itp. Różnorodne i ciekawe w swym ujęciu są świadectwa głębokiego zainteresowania twórców tematyką przemian zachodzących na wsi. Zwraca uwagę swą koncepcją cykl rzeźb Szkodzińskiego „Żniwa w mojej wsi”. Szczególnie dobra artystycznie jest „Kobieta z sierpem”, symbolizująca wieś dawną. Rzeźbie tej przeciwstawia Szkodziński kompozycję obrazującą obecną technikę uprawy ziemi. Tu jednak wyraźnie występuje niedojrzałość artysty, który przedstawiając traktorystę na ciągniku, wykonał nie rzeźbę, lecz model.

Znaczną wartość artystyczną, mówiącą o dużych możliwościach twórczych autora, reprezentują prace Henryka Świdrowskiego, 20-letniego chłopca z Maurzyc w powiecie łowickim, który w dziale rzeźby uzyskał pierwszą nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki... Jury konkursu oceniło nieprzeciętny talent Świdrowskiego, jaki wykazuje szczególnie w kierunku rzeźby monumentalnej. Państwo zaopiekowało się troskliwie młodym Henrykiem. Mimo iż ukończył zaledwie 6 klas szkoły podstawowej, umożliwiono mu rozpoczęcie studiów w Akademii Sztuk Plastycznych w Warszawie. Równocześnie uzupełnia swe wykształcenie ogólne. Uzdolniony rzeźbiarz kształci się pod kierunkiem rektora Akademii — prof. Wnuka.

W dziale malowideł na szkle jedną z dwu pierwszych nagród uzyskał Józef Hulka z Łekawicy w powiecie żywieckim.

Malarka ludowa Felicja Curyłowa z Żalipia charakterystycznie ujmując przemiany swojej wsi Żalipie w cyklu obrazów zatytułowanych „Żalipie dawniej” i „Żalipie zelektryfikowane”.

Osobny dział wystawy stanowią piękne tkaniny artystyczne i wycinanki ludowe.

Prostym, naturalnym ujęciem wyróżnia się nagrodzona rzeźba Józefa Jakubowicza z Iwonicza, pod nazwą „Tak zrodziła się przyjaźń”; rzeźba przedstawia żołnierza polskiego i radzieckiego siedzących przy wspólnym kotle obozowym.

W kilka tygodni po zakończeniu konkursowej wystawy odwiedziliśmy Józefa Hulkę — jednego z uczestników konkursu, odznaczonego I nagrodą za całokształt prac.

Hulka mieszka w Łekawicy — w malowniczo położonej wiosce podhalańskiej. Zastaliśmy go nie — jak można się było spodziewać — przy rzeźbieniu jakiejś figurki z dre-

wa, ale po prostu przy pracach gospodarskich. Rozmowa od razu zeszła na temat jego pracy artystycznej. Co w tej chwili robi, co stworzył, jakie ma plany? Hulka odpowiada jakby z zażenowaniem:

— Widzicie, w tej chwili niczego wam pokazać nie mogę, bo na razie przestałem rzeźbić i malować, a muszę zajmować się budową domu i gospodarstwem. Na razie siedzimy z dziećmi w jednej izbie, bo reszty jeszcze nie wykończyliśmy. Ministerstwo Kultury i Sztuki przydzieliło mi pożyczkę — 2.000 złotych — na pracownię. Koło lata muszę te pieniądze zwrócić. A przy tym wszystkim trzeba jeszcze utrzymać rodzinę. Reperuję więc ludzium buty, zajmuję się stolarką. Rzeźbię i maluję tylko na konkursy, a tak dla siebie — to nie mam zupełnie czasu.

Hulka jest młodym i zdolnym człowiekiem. Świadczą o tym pierwsze nagrody, jakie otrzymał za siedemnaście prac nadesłanych w roku 1950 na powiatowy konkurs twórców ludowych w Żywcu, oraz za sześć prac dostarczonych w 1953 roku na konkurs ZG ZSCh. Przez cały czas rozmowy przewijało się jednak bardzo jaskrawo zmartwienie Hulki: „Tak bardzo chciałbym poświęcić się sztuce, mieć więcej czasu na czytanie i naukę”.

Jego pierwszym nauczycielem był stary rzeźbiarz z sąsiedniej wsi. Michał Filip. Od niego uczył się „robić nożykiem”. Będąc 12-letnim chłopakiem przesiadywał nieraz całe wieczory u Michała Filipa i marzył, żeby rzeźbić tak jak on, a potem chciał umieć jeszcze więcej i więcej. W roku 1945 zapisał się na 2-letni kurs Państwowego Ogniska Kultury Plastycznej w Bielsku. Tak, to już nie były wieczory u Filipa. Tu nauka zaczęła rozciągać przed Józkiem wielkie horyzonty. Szczególnie interesowały go: malarstwo, rysunek, rzeźba, wiedza o sztuce. Kurs ten ukończył z wynikiem bardzo dobrym. Wiadomości, które zdobył, wywarły duży wpływ na dalszą twórczość Hulki.

— Od tego czasu nauczyłem się patrzeć na wszystko inaczej — mówi. — Zaczęłem widzieć więcej. Porzuciłem kopiowanie cudzych prac. Zabrałem się do rzeźbienia i malowania z oryginału. Mogę teraz lepiej wyrazić wszystko, co czuję i co widzę. Chciałbym jednak, aby moje figurki były bardziej plastyczne, żywsze. A tego jeszcze nie potrafię. Wiem, że muszę nad sobą jeszcze wiele pracować, ale tak trudno mi wszystko razem pogodzić.

Hulka żyje myślą o pracy artystycznej. Nie znajduje jednak czasu na realizowanie jej. Zbyt duże ma obowiązki, za wiele kłopotów. Mając żonę i dzieci i własną gospodarkę trudno byłoby Hulce pójść na wyższą uczelnię, kształcić się tak, jak Świdrowski. Pozostaje mu więc nauka w domu.

Znamienna jest jego wypowiedź, że rzeźbi tylko na konkursy. A nawet i na to coraz trudniej znaleźć mu czas. W 1950 roku dostarczył siedemnaście prac, a w 1953 — tylko sześć. Hulka nie powinien tworzyć tylko na konkursy. To nie gwarantuje jego dalszego rozwoju.

Państwo stwarza dziś olbrzymie możliwości samorodnym talentom wiejskim. Jednak w niektórych wypadkach realizacja tej opieki państwa pozostawia wiele do życzenia. Niekiedy udziela się jej ludziom, którzy nie mają odpowiednich uzdolnień. Jako przykład może posłużyć historia Henryka Bzowskiego ze wsi Gębice. Kierując się niesprawdzoną notatką korespondenta, zamieszczoną w prasie wiejskiej, a gloryfikującą wielkie rzekomo uzdolnienia artystyczne Bzowskiego, Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało mu pomoc pieniężną. Nie zainteresowano się jednak bliżej Bzowskim. Nie pojechał do niego żaden fachowiec, który mógłby trafnie ocenić skalę jego talentu i możliwości rozwoju. Dopiero konkurs wykazał, że prace jego nie przedstawiają żadnej wartości artystycznej.

W przeciwieństwie do Bzowskiego fachowcy orzekli, że Józef Hulka jest wybitnie uzdolnionym plastykiem-amatorem. Jednakże w chwili obecnej nie zrobiono jeszcze wszystkiego, aby w pełni pomóc temu ludowemu artyście w rozwijaniu jego zdolności.

WIELKANOC NA WĘGRZECH

Fot. KAROLY FALUS

Wesołych świąt
Nadeszła Wielkanoc
Cieszymy się więc!

brzmia słowa starej węgierskiej piosenki, która dziś nic nie straciła na swej aktualności. Zwłaszcza na wsi

Wielkanoc obchodzona jest zawsze bardzo hucznie i wesoło. Przeciek to starodawne święto ludowe sięgające swymi początkami XII stulecia. Jak co roku — tak i obecnie lud węgierski kończy swe przygotowania do obchodu radosnego święta wiosny.



Pierniki, to na Węgrzech ulubiony przysmak wielkanocny. Już wkrótce przyozdobią świąteczny stół.



Rozpoczynają się przygotowania. Na wsi należy do nich tradycyjne, ręczne malowanie ścian domu



Gdy nas chłopcy obleją w świąteczny dyngus wodą, damy im w zamian za to słodkie malowane jajeczko.

Na zabawach, tańcach i śpiewie wesoło mijają święta



PRZECIEŻ TAKIE ŚLICZNE FIGURKI



„SMUGA CIENIA”

PAWEŁ JASIEŃCZA

KILKA lat temu lekarze i specjaliści uderzyli na alarm — w zniszczonym wojną kraju gwałtownie szerzyły się choroby weneryczne. Ogłaszano przerażające liczby. Na 130 tysięcy ówczesnych mieszkańców Gdańska było 45 tysięcy chorych na kiłę. We Wrocławiu co szósty mieszkaniec miał być zarażony.

Upłynęło sześć lat.

Jestem na zachodzie kraju, we wzmiankowanym przed chwilą Wrocławiu, w Instytucie Immunologii. Siedzę przy biurku, naprzeciwko docenta Feliksa Milgroma, kierownika Działu Immunologii Szczegółowej.

— A czy wolno wiedzieć, jak w tej chwili przedstawia się sprawa rozpowszechnienia syfilisu?

Docent milczy przez chwilę, uważnie przyglądając mi się swymi ciemnymi oczyma, głęboko osadzonymi pod silnie sklepionym czołem.

— Jakby to panu poglądowo wytłumaczyć? Otóż dzisiaj, ilekroć trzeba zademonstrować studentom wypadek świeżej kiły, mamy z tym kłopot, bo musimy czekać na okazję.

Zaniemówiłem z wrażenia. Istotnie, lepiej trafić, bardziej poglądowo mi wytłumaczyć nie mógł w żaden sposób.

Kiedy wchodziłem do tego pokoju nie przewidywałem też, że przyjdzie mi rozmawiać z człowiekiem, który zaraz po wojnie przystąpił do opracowywania metody ratowniczej, uwięzionej tak wspinałymi rezultatami.

— Dawno pan działa w Instytucie? — zapytałem na samym początku, dla wstępnej informacji.

— Od grudnia 1945 roku — powiedział. — Wtedy byłem tu jednym z najmłodszych. Pierwszy kontakt nastąpił akurat na Boże Narodzenie. Z inicjatywy profesora Hirsfelda Klinika skierowała mnie do Zakładu, obecnie Instytutu, i już w nim zostałem. Wtedy też profesor zlecił mi pracę, która miała pomóc Ministerstwu Zdrowia w jego akcji zwalczania chorób wenerycznych. Chodziło o uproszczenie metody wykrywania kiły. Słyszał pan pewnie o odczynie Wassermanna?

Potwierdziłem.

— Jest to dobry sposób — powiedział docent — ale czasami zawodzi, zawsze zaś jest trudny i kłopotliwy. Będzie pan mógł pójść naprzeciwko do pracowni i przyjrzeć się, jak to wygląda. Przy okazji poćwicz się pan w wykrywaniu kiły.

Chodziło więc o wynalezienie sposobu prostszego i bardziej skutecznego. Zaraz po wojnie syfilis szerzył się straszliwie, nabierał po prostu znamion epidemii. Było już wtedy wiadomo, że penicylina skutkuje znakomicie, przynajmniej w tym znaczeniu, iż szybko likwiduje objawy świeżej kiły. Leczone nią pacjenci przestają też być niebezpieczni dla otoczenia. Trudno było jednak traktować tym antybiotykiem — na wszelki wypadek — wszystkich mieszkańców niektórych wsi. Musiały być przeprowadzone masowe badania, mające na celu wykrycie zarówno tych, co wiedzą o swej chorobie i tają prawdę, jak i tych, bardzo licznych, którzy widzą znamiona, lecz nie orientują się w istocie rzeczy albo też pozostają w zupełnej nieświadomości, będąc nosicielami kiły utajonej. Gdyby Służba Zdrowia nie zdobyła wtedy metody prostszej niż odczyn Wassermanna — pewnie do dzisiejszego dnia trwałaby wstępna faza walki.

— Postanowiliśmy wybrać i uprościć metodę Kubańczyka Chediaka — mówił docent — zwaną też niekiedy metodą suchej kropli. Pracowaliśmy kilka tygodni i potem można już było przystąpić do działania praktycznego. Proszę pomyśleć o zadaniu ekipy badaw-

czej, która przyjeżdża np. do fabryki, zatrudniającej kilka tysięcy robotników. Wszystkich ich trzeba zbadać. Ileż zależy od sposobu postępowania! Jeżeli jest on trudny, to można przecież zahamować pracę instytucji. Nasza metoda sprawiła, że każdy z badanych tracił równo pięć minut, przy czym dwie osoby mogły w przeciągu dnia pobrać krew od kilkuset ludzi.

Wprowadzony przez docenta Milgroma sposób został przyjęty przez Państwowy Zakład Higieny i stał się jedną z podstaw akcji przeciwwenerycznej, prowadzonej przez Ministerstwo Zdrowia. Ogółem w całej Polsce poddano zbadaniu ponad pięć milionów ludzi.

W roku 1950, na prośbę Ministerstwa Zdrowia, docent Milgrom podsumował wyniki swoich prac i doświadczeń w książce „Krótki zarys serologii kiły”.

— To zamknęło mój okres młodości i wstąpiłem w wiek dojrzały.

Tak brzmiało zakończenie relacji naukowca, który w chwili, kiedy poważnie dopomógł do zwalczania gnębjącej kraj zarazy, miał zaledwie około trzydziestki. Informacja rzucana przezeń — ot, tak sobie, od niechcenia — przypomniła mi zaraz znaną powieść Conrada, a zwłaszcza jej pierwsze zdania:

„Ledwo zawieszę za sobą furtkę dzielącą się od wieku chłopięcę, a już wkraczam w zaczarowany ogród. Nawet cienie jarzą się tu od obietnic... Idziesz przed siebie przyglądając się ciekawie drogowskazom wytkniętym przez poprzedników, idziesz w podnieceniu, przyjmując z jednakowym rozmachem złą i dobrą rolę — kułaki i miedziaki, jak mówi przysłowie — idziesz na spotkanie losu mieniącego się barwami, a kryjącego w zandradzu nieprzebrany zasób możliwości... Postępujesz naprzód, a twoim śladem niedostępnie i niespostrzeżenie posuwa się czas. Az przychodzi chwila, w której spostrzeżasz przed sobą smugę cienia ostrzegającą cię, że dzień pierwszej młodości dobiegł już do końca!”

Bohater książki Conrada moralnie osiągnął walek męski borykając się z losem na morzach Południa, ratując okręt pełen chorych marynarzy.

W opowiadaniu Żeromskiego „O żołnierzu tulaczu” przełomowy moment przeżywa dwudziestodwuletni generał wojsk Republiki francuskiej — poległy później pod Smoleńskiem. Gudin de la Sablonnière — wódca swolą dywizję do zwycięskiego uderzenia po przez niedostępny grzebień Alp.

Są to przykłady bez wątpienia piękne. Ileż zazdrości budziły one w każdym, komu wypadło przekroczyć „smugę cienia” w szczytnie dnia powszedniego. Toteż wcale nie zamierzam obniżyć ich wartości. Pragnę tylko przypomnieć o fakcie, na który zazwyczaj zwracamy o wiele mniej uwagi niżby należało.

Robert Koch miał dwadzieścia osiem lat, kiedy opanował go nałóg patrzenia w mikroskop. Rezultat tej manii był taki, że z biegiem czasu on sam, Koch, lub też jego uczniowie wykryli zarazki gruźlicy i cholery, dżumy i błonicy, nosacizny i różycy...

Z tego wynika wniosek, że w rzadko przez wieśców opiewanym zawodzie naukowca już samemu momentowi dojścia do wyrocznej „smugi cienia” towarzyszyć mogą wydarzenia miary wysokiej i najwyższej.

W obszernej sali serodiagnostyki kiły przywitał mnie dziki hałas aparatu, zwanego „trzęsówką”. Sama nazwa wskazuje, co ta maszyna robi z naszymi bateriami próbek ustawionych w białym statywie. Od czasu do czasu można tu też postyszczyć przynikliwy terkot chronometru, który wyglądem zdecydowanie przypomina zardzewiały budzik, a wskazuje koniec określonej fazy zabiegów. Zaraz potem próbki wędrują na stół i zaczyna się czynność, na której rezultat ludzie zainteresowani czekają z trwogą i drżeniem serca.

— Siedemset — minus, siedemset jeden — minus, siedemset dwa — cztery plusy, siedemset trzy — minus, siedemset cztery — minus, siedemset pięć — minus, siedemset sześć — trzy plusy...

Biała ubrana niewiasta błyskawicznie, oburącz, wyjmując ze statywu parę próbek, odczytuje numer kolejny, obojętnym, zawsze jednakowym głosem wyraźnie podaje wynik, wsadza je z powrotem i już chwytając następną. W każdym z tych naczyniek, do jakiejś jednej

trzeciej jego wysokości, widnieje blade koralowej barwy słupek płynu.

Statyw został usunięty pod okno. Teraz mogą się przedstawić i przywitać. Pracami kieruje tu dr Zdzisław Świerczyński; stale jej pomagają: Anna Sanakowa i Waleria Świtajło.

Jak już wspominałem, materiał chorobowy z wrocławskiego Szpitala Klinicznego wędruje zawsze najpierw na trzecie piętro, do Oddziału Diagnostyki. Po zarejestrowaniu, analizy dotyczące kiły przechodzą tutaj. Regularnie co dwa dni należy wykonać dwie próby.

Znowu zatrzeszczał czasomierz. Po chwili na stole zjawily się kolejne statywy, najeżone szklanymi rurkami.

— A może i pan spróbuje rozpoznać?

Cóż, nie wypada tchórzyc... zanim jednak zabiorę się do dzieła, trzeba się przez chwilę przyjrzeć, jak to wykonuje Anna Sanakowa.

Święci Państwo! Przecież ona wkłada palce w same otwory próbek, patrzy pod światło i jak gdyby nigdy nie mówi: cztery plusy.

Doskonale rozumiem, że taki sposób ułatwia i przyspiesza manipulowanie groźnym szkłem, sam jednak wolę go nie stosować. Ujmuję próbki delikatnie, jak można najniżej, w przyswoitej odległości od wylotu. W kilku pierwszych krew jest zupełnie klarowna.

— Minus, minus, minus, — mówi przypatrująca się memu zatrudnieniu dr Świerczyńska.

Nagle widzę, że w kolejnej ampule krew utraciła klarowność i wygląda tak, jakby kto rozmieszał w niej odrobinę białawego proszku.

— Plus — powiedział niepewnie.

— A raczej dwa plusy — poprawia lekarka.

— Po czym to pani doktor poznaje? — To już, proszę pana, trzeba mieć wyrobione oko.

Metoda Wassermanna stanowi olbrzymią zdobycz medycyny, jednakże niezupełnie wystarcza i nieustannie szuka się ulepszeń. Zawodzi ona czasem dlatego, że reakcja dodatnia może wystąpić we krwi należącej do osób zupełnie wolnych od syfilisu, lecz chorych na tyfus plamisty, szkarlatynę, raka, trąd, malarię, a nawet na pewne stany gorączkowe. W podobny sposób reaguje też wiele surowic kobiet ciężarnych. Specjaliści czynią wszystko co w ich mocy, by otrzymać takie czynniki, które przestaną mylić i będą wykrywać wyłącznie kiłę.

* * *

Dzięki kolosalnemu wysiłkowi władz państwowych i wszystkich polskich specjalistów osiągnęliśmy w walce z kiłą wyniki wręcz nadzwyczajne (chciałbym tu wtrącić wiadomość, dobrane charakteryzującą wartość naszych fachowców: podczas okupacji Niemcy przejęli pewne metody teoretycznie opracowane przez polskich lekarzy i zastosowali je w Rzeszy — jako własny wynalazek). Pomimo to nikt nie myśli nawet o czynności tak zgubnej, jak przysłowiowe spoczywanie na laurach. Dalsze badania i doświadczenia trwają ciągle. Nie zaliczają się one do zadań łatwych.

Po upływie kilku dni, w dzień dość pochmurny i nieprzyjemny, wsrinałem się na stryszek zakładowej „stajni”, mieszczącej zwierzęta doświadczalne. Piętko jej zostało oddzielone i przeznaczone wyłącznie na króliki docenta Milgroma. Zastałem go, gdy w towarzystwie mgr Konrada Wichra i dwóch laborantek wybierał obiekty do zabiegu. Wszyscy mieli na dłoniach gumowe rękawiczki. Kazano mi usiąść na stołku, zachowywać się spokojnie i niczego nie dotykać.

Wkrótce znaleźliśmy się wszyscy w pokoju, przylegającym do laboratorium dr Świerczyńskiego. Dostarczono również króliki w klatkach. Stół operacyjny jest to po prostu gruba deska przytwierdzona do powierzchni stołu zwykłego. W jej czterech rogach tkwią długie gwoździe żelazne, do których mocnymi sznurkami przywiązuje się łapy zwierzęcia. Maską przypomina małe czółenko z metalowej siatki. Operacja odbywa się bowiem pod narkozą.

W chwili, kiedy jądro zaczęło się wysuwać z przeciętej skalpelem moszny, docent skinął, bym podszedł bliżej. Na sinym tle można było wyraźnie zauwa-

żyć coś w rodzaju płaskiego, białawej barwy pęcherzyka czy też narośli. Była to zmiana kiłowa.

Natychmiast po zakończeniu zabiegu mgr Wicher zaczął miazdżyć wydzielony materiał w płaskim naczyniu szklanym. Potem obaj z docentem zabrali się do manipulowania przy mikroskopie.

— Proszę patrzeć, byle szybko!

Pole widzenia było bardzo ciemne, o tonie głębokiego brązu przechodzącego w czern. Złotawo połyskiwało kilka drobniutkich punkcików. Wydało mi się nagle, że dostrzegam ruch. Istotnie, w samym środku preparatu wirował maleńki twór, podobny do niezmiernie delikatnego korkociągu, a może raczej do strużynki złotawego metalu. Nieustannie błyskał skrętami, obracając się wzdłuż własnej osi, a jednocześnie jakby falował i bez przerwy, równomiernie a gładko, sunął bokiem po ciemnej powierzchni ku brzegowi. Jeszcze raz zalsnił i znikł.

Tak mniej więcej w oczach niefachowca wygląda sprawca syfilisu, krętek błądy.

W następnym preparacie dostrzegłem jeszcze dwa takie same. Zanim spłynęły z widzialnego pola, czas pewien, ciągle kręcąc się i wirując, wahały się ponadto na miejscu, niczym wskazówki kompasów.

— Tylko proszę mi jeszcze wyjaśnić, czemu to tło takie ciemne? W innych preparatach, które oglądałem, bywało inaczej.

— A pamięta pan, jak wygląda ciemna izba, do której ukośnie wpada promień słońca? Widać wszystkie pyłki na jego drodze. To samo było tu. Zasada polega na rzuceniu silnego bocznego światła na oglądany przedmiot.

Zaczęły się przygotowania do dalszej fazy zabiegów. Miało to być szczepienie jąder zdrowego królika materiałem użytym przed chwilą. Odbywa się to bez narkozy.

Pracownia wrocławska zdołała już przeznaczyć zarazki na liczne króliki, co uważane jest za sukces badawczy i stanowi niezbadany warunek postępu wiedzy.

Krętek błądy należy do bakterii, pewien jego obyczaj przypomina jednak po trochu normy, obowiązujące w świecie wirusów. Nie podobna go hodować na sztucznych pożywkach. Od czasu do czasu rozchodzą się pogłoski, że ktoś tego dokazał, ale nikt ze specjalistów nie chce w to wierzyć. — Trochę podobnie aż nazbyt dobrze znany wojennej Europie zarazek tyfus plamisty (zaliczający się do rickettsii, czegoś pośredniego między wirusem a bakterią), mnoży się tylko na wszech i na ludziach.

Jedyny sposób hodowli, a więc i badania krętków, polega na przeszczepianiu ich zwierzętom. Pięćdziesiąt lat temu Miecznikow i Roux dokonali tego w stosunku do małp. W kilka zim później udało się wyzyskać króliki.

Najtrudniejsza jest pierwsza faza — przeniesienie drobnoustrojów z człowieka na zwierzę. Najwiedźniej krętkowi potrzebny jest do wzrostu jakiś czynnik składowy tkanki ludzkiej. Jak? Tego właśnie uczeni bardzo pragną się dowiedzieć.

Zakazanie królików jest niezbędnie potrzebne dla badań nad rozmaitymi środkami leczniczymi, jak również w celu wyjaśnienia wielu doniosłych zagadnień epidemiologicznych i klinicznych.

Spostrzeżono np., że u stworzeń tych nie istnieje zakażenie płciowe. Chory samiec nie przenosi cierpienia na samice. Ponadto występuje u nich to, co Niemcy w swoim precyzyjnym języku nazywają „stumminfection” — głucha infekcja. Dziesięć procent zakażonych króli nie wytwarza zmian. Można laboratoryjnie stwierdzić obecność krętków w ich jądach i gruczołach, ale zmian kiłowych w organizmie brak.

W odniesieniu do człowieka jest to zagadnienie wagi najwyższej. Przypuszcza się, że głucha infekcja może istnieć i u ludzi. Ten i ów osobnik mógł się zarażać, nie wytworzyć w ogóle zmian pierwotnych, czyli wrzodów, lecz dopiero wtórne (wysypka na skórze i blonach śluzowych, częstokroć zmiany w kościach, stawach, oczach itp.).

W czasie wielkiej krajowej akcji przeciwwenerycznej sto dwadzieścia osób wykrytych wskutek analiz masowych poddano we Wrocławiu wszechstronnym badaniom klinicznym. Rezultat powinniśmy sobie dobrze zapamiętać. Okazało się, że osiemdziesiąt procent tej liczby stanowiły wypadki kiły utajonej.

Nieustanne, żmudne, przykre i kłopotliwe badania są niezbędne. Tylko one bowiem pozwolą zrealizować zasadę, na którą godzą się wszyscy naukowcy: pomimo już osiągniętych ogromnych sukcesów konieczne trzeba wiedzieć lepiej.

Balszy ciąg nastąpi



Jean Effel w karykaturze Jerzego Zaruby

jean
effel



Stara miłość nie rdzewieje

JEAN EFFEL jest dziś jednym z najwybitniejszych karykaturzystów Francji. I nie tylko Francji. Sława jego sięga daleko poza jej granice. Świetną swą sztukę uprawia on od lat dwudziestu i poszczycić się może olbrzymim wprost dorobkiem artystycznym. Dość wymienić, że wydawcy paryscy wydrukowali już 50 albumów jego dzieł, że jest on autorem dziesiątków tysięcy rysunków humorystycznych, rozsyłanych po licznych periodykach francuskich, że tysiące jego karykatur politycznych zajmują czołowe miejsce w takich pismach, jak „l'Humanité” i „Lettres Françaises”. Ze setki jego plakatów zdobią ulice, metro i dworce Francji.

Effel jest przede wszystkim humorystą, i to humorystą o wybitnej płodności, niesamowitej fantazji i przebogatej pomysłowości.

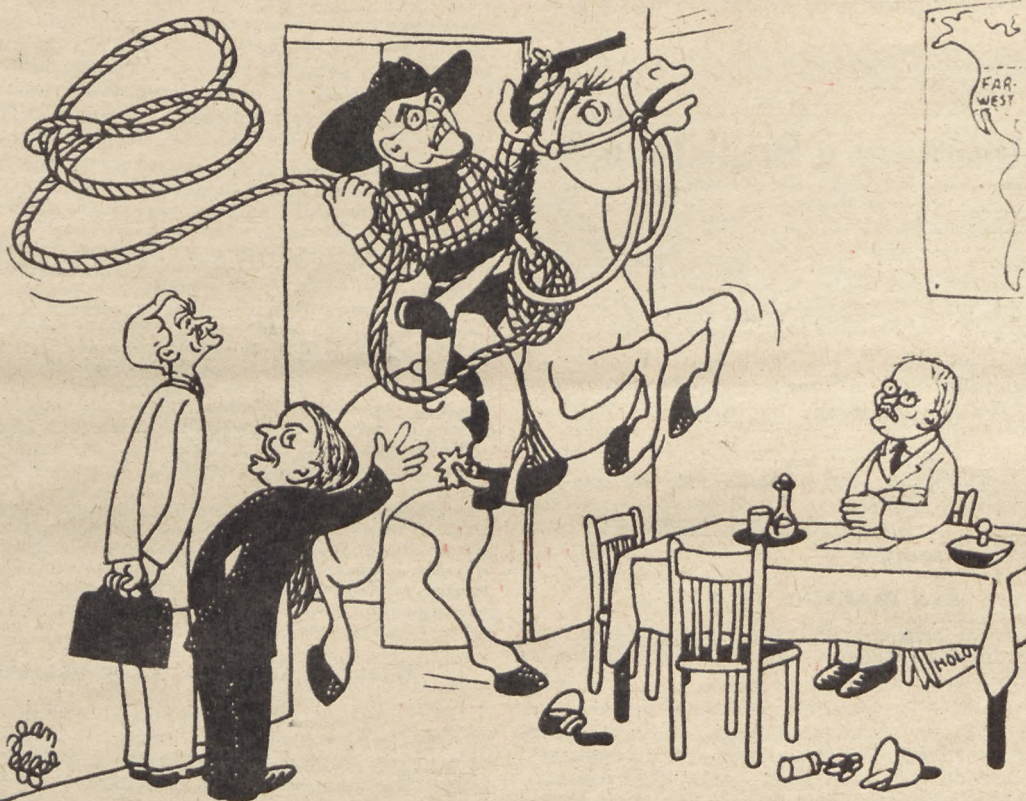
Jego karykatury polityczne posiadają wszystkie cechy doskonałości: wnikliwy pomysł, podobieństwo postaci karykaturowanych, prostotę środków technicznych.

Za swoją wybitną działalność Jean Effel odznaczony został Międzynarodową Nagrodą Pokoju.

W milej pogawędce przy lampce wina Effel uchylił przede mną rąbek tajemnicy swej twórczości. Jak należało się spodziewać, magia jego sztuki jest niesłychanie prosta. Unika on obojętnych tematów. Rysuje tylko to, co go bawi lub oburza. W polityce jest on po stronie postępu i pokoju.

Wrogom tych ostatnich zadaje też on druzgocące ciosy najstraszniejszą bronią: ośmieszając ich i dobijając śmiechem. Toteż śmiejęmy się razem z nim!

(J. Z.)



— Argumentacja tego kochanego Dullesa staje się coraz bardziej zachodnia...



Układy z Bonn? Można na nich postawić krzyżyk!



WILK I OWCE

Nowy tytuł niewinny ten wilk sobie nadał:
„Jestem Jasiem - pastuszkim. Strzegę tego stada”.



— Wprowadzimy po prostu trzy stopnie: dowódca feldfelbel, piechur.

NA TEMATY LITERACKIE

MARIAN BRANDYS

I INNE

NIEZWYKŁA KSIĄŻKA

JAMARE jakcha sykale. Tire — dyćle. Ale tu dikches lenca sfeto adża syr jame a jame, kalenca — adża syr tu”. Znaczy to: „Nasze oczy są czarne — twoje jasne. Ale widzisz nimi świat tak jak my — a my czarnymi tak jak ty”.

Powyższą wypowiedź młodego Cygana wziął Jerzy Ficowski za motto do swej niezwyklej książki pt. „Cyganie polscy” (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1953). Jest to książka niezwykle, w całym tego słowa znaczeniu, poczynając od samego tematu, a kończąc na osobie autora.

Środowisko cygańskie — dzięki swej karowej egzotyce i tajemniczości — od dawna już działało silnie na wyobraźnię pisarzy i poetów. Józef Ignacy Kraszewski osnuł na tematyce cygańskiej głośną powieść „Chata za wsią”. Julian Tuwim jednemu z najpiękniejszych swoich tomików poetyckich dał tytuł „Biblia cygańska”. Serdecznym przyjacielem i znawcą Cyganów jest Jerzy Kornacki, znakomity współautor „Poloneza” i „Jadą wozy z cegłą”. Ale żaden z dotychczasowych przyjaciół literackich narodu cygańskiego nie złożył Cyganom tak pełnego i cennego dowodu przyjaźni, jak Jerzy Ficowski, młody poeta, autor prześlicznych wierszy lirycznych — między innymi szeroko rozslawionej przez zespół „Mazowsze” „Kukuleczki”.

Jerzy Ficowski — związany ze środowiskiem cygańskim węzłami wieloletniej osobistej przyjaźni — postawił sobie ambitne zadanie przedstawienia polskiemu czytelnikowi pełnego obrazu życia narodu cygańskiego, jego historii i struktury społecznej, obyczajów i trybu życia, języka, sztuki i zabobonów.

Wprawdzie we wstępie do książki autor skromnie zastrzega, że nie ujmuję ona całokształtu cygańskich spraw. Niemniej bogactwo materiałów, zebranych w tej książce, prawdziwie zdumiewa czytelnika i uprzyłamnia mu, jak bezmierna była nasza dotychczasowa ignorancja odnośnie narodu, z którym już od czterech wieków mieszkamy pod wspólnym niebem.



Rys. A. Perzyk

Książkę „Cyganie polscy” czyta się jak najciekawszą powieść. Satysfakcja tym większa, iż czytelnik zdaje sobie sprawę z tego, że ma do czynienia z poważnym i oryginalnym dziełem naukowym.

W literaturze nie ma przypadków. Narodziny cennej książki Ficowskiego pozostają w ścisłym związku z przełomem historycznym, jaki przeżywają obecnie Cyganie polscy. Odwiecznie koczownicze plemię kotlarzy i wójtów przeobraża się dziś w naród osiadły i pracujący. Świadczy o tym dobitnie choćby ten fakt, że największym skupiskiem cygańskim w Polsce jest dziś Nowa Huta. Ficowski jest gorącym orędownikiem tej historycznej przemiany i rzeczywistego wrośnięcia mniejszości cygańskiej w naród polski. Dlatego zadal sobie ogromny trud wprowadzenia Polaków w sprawy cygańskie.

ODGŁOSY

W związku z felietonem „Dzieci czekają”. DYREKCJA PAŃSTWOWEJ SZKOŁY MUZYCZNEJ W GDYNI wzywa literatów i kompozytorów do podjęcia trudu stworzenia opery dziecięcej, która byłaby przystosowana do możliwości małych artystów i mogła być grana przez dzieci. Przykładem tego rodzaju utworu muzyczno-literackiego jest wystawiana obecnie przez Szkołę opera kompozytora radzieckiego Kompaniejca pt. „Wilk i kozłeta”.

MGR. HANNA LUTZOWA (Dziekanów k. Warszawy, Sanatorium Przeciwgruźlicze dla Młodzieży) — nawiązując do tego samego felietonu — uskarża się na brak nie tylko filmów, ale także powieści, nowel i opowiadań dla młodzieży. Ob. Lutzowa zapytuje wydawnictwo „Iskry”, kiedy wreszcie nastąpi rozstrzygnięcie opóźnionego już o siedem miesięcy otwartego konkursu na utwór literacki dla młodzieży. W plonie tego konkursu znajdzie się z pewnością wiele cennych pomysłów na utwory młodzieżowe, które mogłyby być przekazane do „oszlifowania” zawodowym literatom.

„KSIĘGARZ ZE SZCZECINA” zgadza się całkowicie z treścią felietonu „O przedmowach” i proponuje, aby wydawnictwa poprzedzały treść książek jedynie krótką notką informacyjną na temat autora i książki. Praktyka taka ogromnie ułatwi pracę księgarzom i bibliotekarzom, a dla czytelników nie będzie nużąca.

SZYNKA KSIĘDZA TISO

ŚLADAMI ŚMIERDZĄCEJ SPRAWY (4)

NA POCZĄTKU października 1938 hitlerowski charge d'affaires w Pradze, Hencke, donosił swemu ministrowi, iż „polskie poselstwo w Pradze skłania się coraz bardziej ku idei niezawisłego państwa słowackiego, które pozostawia otwartą możliwość protektoratu pod władzą Polski czy Węgier”.

Jeśli chodzi o to „czy”, to węgierscy feudalowie — sprzymierzeńcy Becka w intrydze przeciw Czechosłowacji, byli bardziej pewni siebie, skoro 6 października 1938 roku dyrektor departamentu politycznego w hitlerowskim MSZ-ecie, Woermann, zapisał w swym memorandum, że węgierski ambasador, który tegoż dnia był jego współbiedziakiem, „powtarzał mi i każdemu wokół, iż Fuehrer obiecał Bratysławę Węgrom... Powiedział, ale, iż polskie rozwiązanie dla Słowacji musi być całkowicie zarzucone i że jedynym naturalnym rozwiązaniem jest rozwiązanie węgierskie...”

21 października ambasador Rzeszy w Rzymie pojechał do faszystowskiego ministra spraw zagranicznych i w drzwiach spotkał Bolesława Wieniawę-Długoszewskiego — z wykształcenia doktora medycyny, z zamiłowania — pijaka, z rozkazu — generała kawalerii, z nominacji — ambasadora Rzeczypospolitej w Rzymie. Von Mackensen nie omieszczał zapytać hrabiego Ciano, w jakiej sprawie był przed chwilą jego polski kolega, i dowiedział się, iż pupilek marszałka Piłsudskiego sondażował opinię Włoch co do udziału Polski w dalszym rozbiórce Słowacji.

DAĆ MU GITARĘ!

W tym też czasie Beck konferował w Warszawie z Karolem Sidorom — jednym z przywódców faszystów słowackich, a zarazem od lat agentem polskim, szeroko reklamowanym zarówno przez sanację, jak i przez Pana Becka Najbardziej Lojalną Opozycję. Endecki dziennikarz Wacław Filochowski opowiada w swej opublikowanej w 1938 roku książce „Cierpkie pobratymstwo”, iż o Karolu Sidorom mówiło się w Czechosłowacji: „Sidor jest zdrajcą. Sidor bierze pieniądze od Węgier i Polski na robotę antypaństwową”. Filochowski przedstawia nam tego agenta: „Ciemne jego oczy jakby wezbrane były marzeniem, wyraz ust pogodny. Urodziwy to człowiek, bardzo męski, ale na dnie wyrazu — raczej liryk. Kiedy Sidor rozmawia z wami, kiedy patrzycie w jego marzące oczy, słuchacie melodii głosu, to ogarnie was w chwili refleksji zdumienie. Włec to tak wygląda Sidor? Człowiek wzniciający burzę nienawiści? Zaciekle zwalczający? Dać mu gitarę, a niechybnie zaśpiewa coś sentymentalnego”. Kiedy jednak pięknoduch Sidor dostał od Polaka może nie gitarę, ale harmonię (forsy na dywersję), to zaśpiewał... „Horst Wessel's Lied”, czyli pieśń o sutenerze awansowanym na bohatera hitlerizmu. Sidor, autor panegiriku „Moja droga po Polsce”, postawił był bowiem we właściwym czasie na Hitlera. Obecnie jest „posłem” nieistniejącej Republiki Słowackiej w Watykanie. Nie wątpimy, że zajęcie to nie zabiera mu zbyt wiele czasu i że może często umawiać się na wspólne spacerki po przepięknych ogrodach watykańskich z kolegą po fachu — panem Kazimierzem Papée, który jako „posel” z ramienia „rządu londyńskiego” również nie ma za dużo pracy, a jako dawny poseł w Pradze legalnego wtedy rządu polskiego miał niezawodnie wgląd w pobory i prace Karola Sidora.

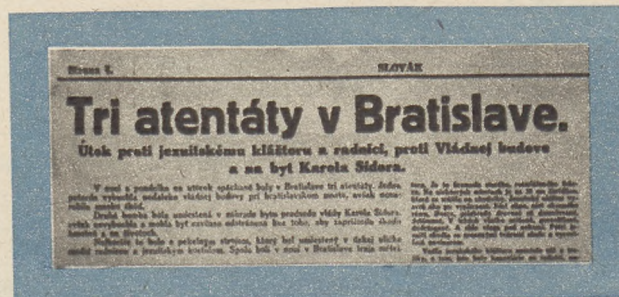
Proponujemy panu Papée, aby w chwili wolnej od (nawalu) zajęć przełożył panu Sidorowi fragment z wydanego w Paryżu pamiętnika Becka („Ostatnie Sprawozdanie”), który to sobie zapisał po jednej z kolejnych odpraw dla tej sanacyjnej gwiazdki na słowackim niebie: „Poseł do parlamentu czechosłowackiego i zarazem jeden z przywódców partii ks. Hlinki — p. Sidor — odwiedził mnie w Warszawie. Doszliśmy do bardzo zadowalającego porozumienia, ale mam wrażenie, że w 48 godzinach po powrocie do Bratysławy p. Sidor zapomni już o wszelkich sprawach, w których doszliśmy do porozumienia”.

Panu Sidorowi proponujemy znowu, aby dla rewanżu odczy-

tał koledze fragmenty ze swego własnego utworu pt. „Moje uwagi o historycznych dniach”, które podyktował był Irenie Jablonkovej. Pisząc tam o początkach „państwa” słowackiego Sidor daje świadectwo prawdzie stwierdzeniem, że w Bratysławie rokowania prowadzone były przez tegoż Kazimierza Papée oraz przez Seyss-Inquarta. Jakże ten świat jest mały! Przecież niedługo później spotykamy już herr Seyss-Inquarta w Krakowie, gdzie jest zastępcą dr Hansa Franka. Jakże czułe musiał wtedy wspominać polskiego dyplomata...

BARDZO ZADOWALAJĄCE POROZUMIENIE

Zarówno wywiad, jak i dyplomacja sanacyjna stawała w swej grze na zdecydowanie faszystowskie elementy w Słowacji, a agenci polskiego wywiadu, używani na tym terenie, byli dobrze notowani w Berlinie. Typowym przykładem jest tu osławiony ksiądz Antoni Kwiatkowski, po którym mamy jeszcze dziś w Warszawie pamiątki w postaci rozliczeń składanych II oddziałowi sztabu generalnego za podróże wywiadowcze po Słowacji. Wielebny agent, który dostawał co miesiąc 400 zł z kasy „dwójki”, był częstym gościem w Słowacji, gdzie — jak to pisze np. w rozliczeniu z podróży do Bratysławy, sporządzonym 17 października 1936 r. — jest i „specjalna suma bez wyliczania się, prze-



Zamachy w Bratysławie, o których donosił faszystowski dziennik „Slovak”, były w istocie prowokacjami hitlerowskiego wywiadu. Następną na liście była Polska...

znaczona na akcję wśród duchowieństwa — 200 zł”. Wywiad polski nie był zresztą osamotniony w swej rozbicie w Słowacji — jego działalność była zbieżna z pracą hitlerowskich agentów.

SYN BIAŁEGO ORLA

Kto by nam tu mógł coś ciekawego opowiedzieć o pracy wywiadu hitlerowskiego w Słowacji? Aha, już mam!

W austriackim mieście Linz, w domu numer 70 przy ulicy Alt-Aussee, mieszka sobie spokojnie pewien pan o uregulowanym trybie życia. Nazywa się dr Wilhelm Hoettl i bliżej szczegółów o nim znajdziemy na austriackiej liście zbrodniarzy wojennych, gdzie figuruje pod numerem 379 ze wzmianką „nie odszukany”. Właściwsza byłaby wzmianka, iż pana doktora nie chciano odszukać... Hoettl był podpułkownikiem SS i adiutantem ponurej pamięci Ernsta Kaltenbrunnera — szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Jako szefowi SD w Wiedniu, Hoettlowi podlegał m. in. wywiad hitlerowski w Słowacji. W końcowym okresie wojny z ramienia innego zbrodniarza wojennego — marszałka Kesselringa, Hoettl konferuje w Bernie z obecnym sze-

fem wywiadu amerykańskiego, Allanem Dullemem. Ponieważ Hoettl nie zechciałby pewnie z nami rozmawiać — więc sięgnijmy po jego wspomnienia. Pod pseudonimem „Walter Hagen” opublikował je na łamach wiedeńskiej „Die Presse”, której naczelnym redaktorem jest niejaki Fritz Moldau — zięć Allana Dullesa.

Dowiadujemy się, że Hitler działał w Słowacji z obęciem własnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W końcu stycznia 1939 roku Hitler przyjął kilku „specjalistów” z wywiadu, którym polecił ni mniej ni więcej, tylko... utworzenie „niezależnego” państwa słowackiego w połowie marca. Fachowcy dowiedzieli się od swego wodza, że polecenia jego mają tak tajny charakter, iż żadna placówka Rzeszy ani nawet nikt z Wehrmachtu nie może się o nich dowiedzieć. Hitlerowskie agencje zabrali się rażno do roboty i w początkach lutego omawiali już dokładnie sytuację z tymi faszystami słowackimi, którzy wchodzili w rachubę — to sformułowanie należy rozumieć dosłownie: ci, którzy byli w buchalterii hitlerowskiego wywiadu, o której już uprzednio wspominaliśmy. Całością akcji dywersyjnej w Słowacji kierował fachowiec: dr Edmund Veessenmayer. Interesująca to dla nas postać, gdyż ostrogi swe (jeżeli wolno nam tak mówić o wywiadzie) zdobył przy organizacji tzw. Freikorpsów, które po I wojnie światowej walczyły z Polakami na Śląsku, a za dobrą robotę w Słowacji — został później wysłany do Gdańska. Jak widzimy, postać wcale, wcale...

Łatwiej nam będzie zrozumieć teraz, iż kierując spiskiem przeciw Republice Czechosłowackiej, hitlerowcy ani na moment nie zapominali, kto jest następnym na ułożonej przez Hitlera liście. Kiedy bowiem 7 marca słowacki faszysta dr Durczanski przyjęty został przez Goeringa, w obecności szefa propagandy słowackich faszystów — Szanlo Macha i przywódcy mniejszości niemieckiej w Słowacji — Karmasina, to Wielki Łowczy Rzeszy przedstawił swym rozmówcom szczegółowy plan szyskowych przez siebie wielkich łowów. Powiedział on (cytuje protokół konferencji, ujawniony na tzw. „procesie Wilhelmsstrasse” w Norymberdze i zamieszczony w książce Heinza Holldacka pt. „Jak to było naprawdę”) mianowicie: „Dążenie Słowaków do niepodległości w odpowiedni sposób popierać. Czechy bez Słowacji są jeszcze w większym stopniu zdane na naszą łaskę. Bazy lotnicze w Słowacji są bardzo ważne do akcji przeciw wschodowi”. A na wschód od Niemiec — leży Polska...

Przez zieloną granicę ucieki do Wiednia (zajętego wtedy przez hitlerowców) niejaki Karol Murgasz i tam wygłaszał przez radio podburzające przemówienia. Karol Murgasz był w Warszawie dobrze znany: on to napisał ociekającą wazeliną książkę pt. „Syn Białego Orła” z Piłsudskim w roli tytułowej. Na niego też stawiała dyplomacja sanacyjna — a jak się okazuje — nie tylko ona.

KTO KOLACZE DO WRÓT PLEBANII?

Hitler rozkazał, aby kilka specjalnych grup SS prze-dostało się nielegalnie na teren Słowacji, aby przez prowokacyjne zamachy zwiększyć zamieszanie w tym kraju. Rozglądając się za najlepszym kandydatem na lokalnego Fuehrera dla Słowacji, wywiad hitlerowski zdecydował się ostatecznie na księdza Tiso, który po śmierci ks. Hlinki grał wraz z „naszym” Sidorom pierwsze skrzypce w faszystowskich ugrupowaniach słowackich. W nocy z 12 na 13 marca 1939 roku dwaj agenci hitlerowskiego wywiadu zapukali do drzwi plebanii w Banowcach, gdzie przyjął ich proboszcz — ksiądz Tiso. Nie dał się długo prosić i wkrótce potem odleciał samolotem po natchnieniu do... Hitlera.

Hans Bernd Gisevius, szef wywiadu hitlerowskiego na Szwajcarię, opisał malowniczo w swej książce „Aż do gorzkiego końca”, jak ksiądz Tiso był przyjmowany na lotnisku w Berlinie. „Gdyby nie odeszła nas chęć do śmiechu z powodu troski związanej z wyraźnie zarysowującą się katastrofą europejską, musielibyśmy się dać porwać komizmowi sytuacji, kiedy ten duchowny na lotnisku Tempelhof przyjmował przy dźwięku fanfar i biciu w bębny defiladę czarnej gwardii Himmlera”.

ZDRADA PRZY KANDELABRACH

Dalszy ciąg widowiska rozegrał się w Kancelarii Rzeszy. W wysokiej sali o ścianach utrzymanych w kolorze brunatnym stało w kącie biurko Hitlera. W drugim kącie ustawiono otwarty czworobok z kombinacji kanapek i głębokich foteli wokół niskiego, okrągłego stołu. Pod oknem stał długi, ale nie sprawiający ciężkiego wrażenia stół, zaś środek sali był cały wyłożony grubym kobiercem, również brunatnym. Brunatne ściany, brunatny dywan stwarzały szczególnie ponurą atmosferę. W półmroku tylko niewyraźnie rysował się mały wizerunek Fryderyka Wielkiego, ustawiony na jednym ze stołów. Całość — stanowiła niezrównane tło dla tragikomicznej sceny, jaka się rozegrała tej nocy.

Słynny tłumacz Hitlera, dr Paul Schmidt, w swej książce „Statysta na światowej scenie” wspomina księdza Tiso: „Był to jedyny w swym rodzaju widok, kiedy ten katolicki duchowny był przez Hitlera tak przyjaźnie witany. Niski i puciołowaty stał ojciec duchowny przed człowiekiem, którego nie można nazwać

Sanacyjna Polska stawiała w intrydze słowackiej na Karola Sidora. Widzicie go (od prawej) wspólnie z księdzem Tiso, dalej (drugi od prawej na zdjęciu środkowym), kiedy wraz z innymi słowackimi faszystami przybył tuż przed wojną do Katowic, i wreszcie już bez maskarady: faszystowski mundur — faszystowskie pozdrowienie



Gordon Schaffer

Gordon Schaffer jest wybitnym brytyjskim politykiem i działaczem społecznym. Od kilku lat zajmuje stanowisko przewodniczącego Brytyjskiego Komitetu Obrony Pokoju. Jako członek Labour Party reprezentuje jej najbardziej postępowe skrzydło. Gordon Schaffer jest wypróbowanym przyjacielem naszego narodu; pełni on funkcję przewodniczącego istniejącego w Anglii Towarzystwa Przyjaźni Brytyjsko - Polskiej. Schaffer jest również znakomitym dziennikarzem. Współpracuje nie tylko z prasą postępową, ukazującą się w Wielkiej Brytanii, ale także z niektórymi pismami francuskimi i radzieckimi.



„Kiedy jestem wzburzony — zjadam pół funta szynki, to uspokaja moje nerwy” — mawiał ksiądz Tiso, samozwańczy prezydent „republiki” słowackiej, agent Hitlera

szczególnym przyjacielem świata katolickiego”. Ksiądz Tiso powiedział kiedyś temuż Schmidtowi: „Kiedy jestem wzburzony — zjadam pół funta szynki, to uspokaja moje nerwy”.

Widocznie owej nocy ksiądz Tiso zjadł też szynkę — i sprzedał swój kraj. Cała jego transakcja z Hitlerem trwała równo 35 minut. Na zegarku!

Z ZAPALEM I ZACHWYTEM

Historia opowiada czasem ponure anegdoty. Oto jedna z nich. Aby planowane przez siebie „wyzwolenie” Słowacji poprzeć małym szantażem, Hitler dał Węgrom rozkazy marszowe. W niedzielę 12 marca 1939 r. wezwał do siebie posła Węgier, którego mu oznajmił, iż „zabiera swą dłoń, powstrzymując ten kraj”. Spuszczony ze smyczy sprzymierzeniec Polski — regent Mikolaj Horthy wystosował już nazajutrz pismo do Hitlera z podziękowaniem za podarowaną mu Słowację: „Waszej Ekscelencji — moje najszczerze dzięki! Brak mi wprost słów do wyrażenia mego szczęścia, gdyż ta obfitująca w wodę okolica — nie rzucam łatwo wielkich słów — ma dla Węgier życiowe znaczenie... Z zapalem i zachwytem zabieramy się do tej sprawy. W czwartek 16 bm. dojdzie do incydentu granicznego, po którym w sobotę nastąpi wielkie uderzenie. Nigdy nie zapomnę tego dowodu przyjaźni i Wasza Ekscelencja może zawsze liczyć na moją niezmienną wdzięczność. Pański oddany przyjaciel — Horthy”. Jak już wiemy, skończyło się tylko na apetycie admirała na „okolice obfitujące w wodę”, gdyż Hitler sprawę Słowacji załatwił jeszcze przed „incydentem granicznym” i „wielkim uderzeniem”: załatwił ją z księdzem Tiso 13 marca między godziną 18.40 a 19.15. Horthy musiał zadowolić się „tylko” Rusią Zakarpacką.

I tu jest polna anegdota. 14 marca 1939 o godzinie 11.30 zadzwonił telefon na biurku księcia Otto von Bismarck, zastępcy dyrektora departamentu politycznego w hitlerowskim MSZ. Telefonował z Budapesztu poseł Rzeszy — Otto von Erdmannsdorff, informując, że sprzymierzeniec pana Becka — hrabia Csaky, zapytał go, czy poinformować Polaków o węgierskich zamiarach wobec Czechosłowacji. „Pan von Erdmannsdorff odparł, a przeto żadnych informacji nie udzielano” — zapisał wtedy książkę Bismarck. W kilka dni później Horthy depešował do Smigłego-Rydzia: „Po przeszło wiekowej rozłące armia polska i węgierska uściśniły sobie dłonie na przywróconej granicy polsko - węgierskiej. Korzystam z tej chwili, aby ze szczerą radością w mym własnym imieniu i w imieniu armii węgierskiej powitać Waszą Ekscelencję, Marszałka Polski, spadkobiercę duchowego Marszałka Piłsudskiego, którego stratę tak głęboko oplakujemy”. Historia milczy, czy Horthy pytał posła hitlerowskiego o pozwolenie przesłania do Warszawy i tej depešy...

QUISLING NIE BYŁ PIERWSZY

Vidkun Quisling, zdrajca Norwegii, którego imię stało się synonimem zdrady narodowej — nie był pierwszy; ubiegł go ten, którego dawny hitlerowski ambasador w Watykanie — Ernst von Weizsäcker nazywa w swych pamiętnikach poufale „pucołowatym, zażywnym prałatem” i dodaje, że w Słowacji „duchowieństwo odgrywało większą rolę w polityce niż w innych krajach. Stąd też dzieliło losy polityków, co i Tiso doprowadziło do jego tragicznego końca”. Jak wiadomo, ksiądz Tiso został w 1947 r. za zdradę powieszony...

Ciekawe szczegóły zdrady ks. Tiso zawierają raporty dyplomacji brytyjskiej. W owych gorących dniach 1939 roku podróży „rychlika”, czyli pociągu, kursującego między Pragą a Bratysławą, mogli często ujrzeć strzegących pilnie więzionego bagażu dyplomatycznego Brytyjczyków, należących do służby, która liczy sobie już teraz blisko pół tysiąca lat i ma w godle Srebrnego Charta. Brytyjczycy ci — to tak zwani „Królewscy Posłańcy”, czyli po prostu kurierzy dyplomatyczni. Ich pra-praworem byli dwaj żeglarze holenderscy, którzy przyłączyli się do łączników z Londynem podczas jego wygnania w Holandii i jako znaki rozpoznawcze nosili właśnie srebrne charty, zdjęte z królewskich... półmisków. Zajrzyjmy do kilku teczek tych „Posłańców”!

31 stycznia 1939 konsul brytyjski w Bratysławie, p. Pares, donosił ambasadowi Jego Królewskiej Mości w Pradze: „Mam zaszczyt donieść, że złożyłem dziś oficjalną wizytę politykowi słowackiemu dr Tiso. Przyjął mnie przyjaźnie i przebywałem z nim około 20 minut”. Pan konsul przechodzi następnie do sedna sprawy: „Jeśli chodzi o dobrą wolę odnośnie brytyjskiego kapitału, to trzeba podkreślić, że w pewnych rokowaniach, toczących się tu z wielkim przedsiębiorstwem brytyjskim, władze słowackie okazały chęć wspomnienia w miarę swych możliwości”. A więc skoro tylko kapitału nie ruszają...

W kilka dni później powędrował przez Pragę do Londynu — do wiehrabiego Halifaxa inny raport, omawiający polityczną sytuację w Słowacji. Brytyjczycy byli zdania, że „głównym celem popierania Słowaków” przez Polaków „jest chęć osłabienia Czechów”.

Brytyjski wywiad orientował się też dość dokładnie w kulisach słowackiej „niepodległości” i jakkolwiek daty się nie zawsze zgadzają, to jednak przebieg wydarzeń opisany w raporcie mr Newtona z Pragi zgodny jest na ogół z rzeczywistością. „Po powrocie pana Sidora do Bratysław, herr Buerckel, herr Seyss-Inquart

W ciągu dziesięciu lat od chwili wyzwolenia — lat tak bogatych w wydarzenia — kilkakrotnie przyjeżdżałem do Polski. Widziałem straszliwe zniszczenia, jakim uległy miasta i miasteczka polskie, a wiara i odwaga, z jakimi naród polski zabierał się do ich odbudowy, budziły we mnie szczerzy podziw. W owych czasach nie mieliście nie prócz własnych rąk, prócz wiary w swój naród i zaufania do jego przyszłości.

Wtedy właśnie Związek Radziecki — pomimo ogromu cierpień, które nań spadły — pospieszył Polsce z pomocą, posyłając maszyny i sprzęt techniczny.

Warszawa, a wraz z nią inne miasta, podźwignęły się do nowego życia. Ileż razy od tam przyjeżdżałem do Warszawy, odnajdywałem tu nowe, wskrzeszone miasta. Odrodzona Warszawa jest dziś jedną z najpiękniejszych stolic europejskich, a jednocześnie jest miastem, które z największą pieczołowitością pielęgnuje bogatą spuściznę swojej przeszłości.

Kiedy patrzyłem, jak się rozwija i kwitnie nowe życie w Polsce, największe wzruszenie budziła we mnie troska, jaką są otoczone dzieci w nowej Polsce, i powszechne umiłowanie, jakie naród polski żywi dla swej wspaniałej kultury. Naród, który tak wielką wagę przywiązuje do tych właśnie spraw, musi być przepojony wiarą w swą przyszłość, a przede wszystkim wiarą w pokój.

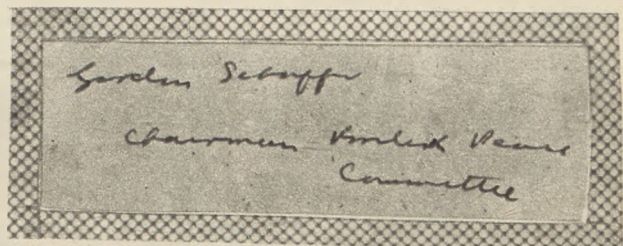
Polska bowiem pragnie pokoju, by dokończyć dzieła swej odbudowy oraz by zapewnić szczęśliwą i pomyślną przyszłość tym, którzy tak ofiarnie przyczynili się do jej odbudowy w przeciągu minionych dziesięciu lat od chwili jej wyzwolenia.

Od chwili utworzenia Towarzystwa Przyjaźni Brytyjsko-Polskiej biorę czynny udział w jego pracach i z dużą mocą stwierdzam, że w wyniku wycieczek organizowanych do Polski oraz dzięki uczciwym wiadomościom o tym kraju szerzonym przez Tow. Przyjaźni Brytyjsko-Polskiej, w społeczeństwie naszym coraz bardziej wzrasta uczucie prawdziwej przyjaźni dla Polski Ludowej. Coraz liczniejsze szeregi Anglików — bez różnicy poglądów politycznych — zdają sobie sprawę z tego, że przyjaźń i współpraca Wielkiej Brytanii i Polski może być niezmiennie pożyteczna dla obu naszych narodów.

Niech w chwili obecnej, kiedy Polska wkracza w dziesiąty rok swego wyzwolenia i tak wspaniałego rozkwitu, naród polski wie, że miliony ludzi na Wschodzie i Zachodzie żywią dla niego uczucie prawdziwej przyjaźni i nieklamanej podziwu.

Zasylam również i swoje najserdeczniejsze życzenia z okazji dziesięciolecia Polski Ludowej.

Wierzę, że przyjaźń pomiędzy naszymi narodami pogłębi się i że naród polski i naród brytyjski wspólnie przyczynią się do utrzymania stałego pokoju na świecie.



i pięciu niemieckich generałów przybywa około 10 wieczorem w sobotę 11 marca na odbywające się posiedzenie rządu w Bratysławie i oświadcza rządowi słowackiemu, iż powinien ogłosić niepodległość Słowacji. (...) Gdy rząd obradował w poniedziałek po południu, ksiądz Tiso zatelefonował do nich mówiąc po niemiecku, że dzwoni z kancelarii Fuehrera, gdzie przybył też pan von Ribbentrop, baron von Neurath i generał Brauchitsch. Ma rozkaz zażądania od gabinetu zwołania sesji parlamentu słowackiego na najbliższy czwartek, na godzinę 10 rano. Kiedy stwierdził, że zlecenie to zostało zrozumiane — odłożył słuchawkę na widelki.

TUKA PO RAZ DRUGI

Czytajmy dalej, co się stało po powrocie księcia Tiso do Bratysław: „Na zebraniu posłów ksiądz Tiso odczytał tekst uchwały przekłamującej niepodległość Słowacji, który dał mu od razu zredagowany po słowacku herr Ribbentrop... (...) Jak niewielkie zainteresowanie okazała słowacka ludność Bratysławę wydarzeniom pierwszego dnia, świadczy mała liczba osób, które uczestniczyły w pierwszej demonstracji po południu. Uczestnicy byli obskurnie wyglądającymi szumowinami najgorszej jakości, uzbrojonymi w ciężkie paliki, zaś mówcy, którzy przemawiali do nich z balkonu Słowackiego Teatru Narodowego — byli niewiele lepsi. (...) Przyjęcie, zgotowane deklaracji wtorkowej przez ludność Bratysławę, było nad wyraz chłodne. Nie było przejawów radości i ludzie pracowali tak, jak gdyby nic się nie stało. Brak zainteresowania był widoczny już poprzedniego wieczoru, kiedy słuchałem przemówienia Macha. Większość słuchaczy, którzy zebrali się, aby posłuchać Macha proklamującego niepodległość — stanowili Niemcy, a niektórzy z obecnych Słowaków marmotali coś do siebie pod nosem lub przeskadzali mówcy. Łącznie tłum nie liczył więcej niż półtora tysiąca osób, co jak na taką okazję nie jest wielką liczbą dla miasta o 150.000 mieszkańców. Ciekawe są metody zwołania zebrania. Szano Mach powrócił z odesobnienia na Morawach i zaraz po powrocie rozmawiał w Hotelu

z dwoma głównymi doradcami Karmasina. Ulotki zapowiadające, że on i Tuka przemawiać będą wieczorem, wydrukowane zostały po słowacku, ale nosiły znaki niemieckiej drukarni w Bratysławie”.

Nasz dawny znajomy — Wojciech Tuka, szukał tym razem natchnienia do swych przemówień w Berlinie, gdzie już 12 lutego 1939 roku zjawił się w nowej kancelarii Rzeszy i powiedział Hitlerowi: „Skladam los mego ludu w twoje ręce, mój wodzu! Mój lud czeka na oswobodzenie całkowite przez ciebie”. Dodał też, że „zamiary polskie i węgierskie mogą być pohamowane przez jedno słowo Hitlera”. Hitlerowski dyktarz Hewel — przedstawiciel MSZ przy Hitlerze — zapisał wtedy: „Pożegnawszy się Tuka powiedział mi, że ta rozmowa z Fuehrerem wywarła na nim tak głębokie wrażenie, iż bez wątpienia dzień ten pozostanie dlań najwspanialszym w życiu”.

MARKI CZY ZŁOTE?

Jakże to, panie Wojciechu? Najpierw kombinacje z wywiadem polskim, za które posiedziało się w kocznie kilka lat — a potem zaraz „mój wodzu”, i „najwspanialszy dzień w życiu”? Podziwiamy tu trafność pańskiej ówczesnej oceny sytuacji, gdyż istotnie „jedno słowo Hitlera” mogło pohamować zapędy jego sojuszników, którzy w Warszawie czy Budapeszcie szykowali się do zaboru Słowacji. Rozumiemy też, że wypłaty w markach lepiej się tuce kalkulowały niż w złotych.

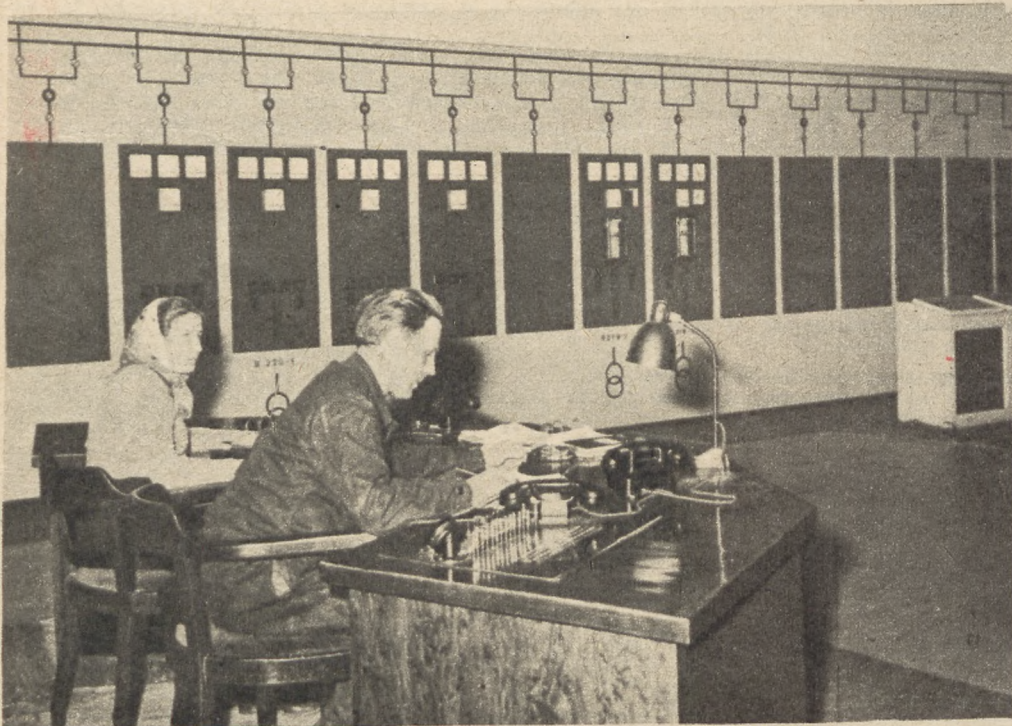
Mentalność Tuki nie jest niczym nowym. Pozwólcie, że przedstawię ją drogą nieco okólną. Wielkim powodzeniem cieszyła się w latach dwudziestych w Ameryce powieść Anity Loos, pod tytułem: „Mężczyźni wolą blondynki”. Bohaterką jest przedstawicielka najstarszego zawodu świata, najniebezpieczniej zwanego „lekkim chlebem”. Ona to właśnie wypowiada złotą myśl, która mogła służyć za herbowe zawołanie dla tych wszystkich słowackich renegatów, którzy za polskie, węgierskie czy niemieckie pieniądze sprzedawali swój kraj: „By pocałowaną w rękę jest bardzo, bardzo przyjemnie — ale diamentowy naszyjnik pozostaje na zawsze...”

Dalszy ciąg nastąpi

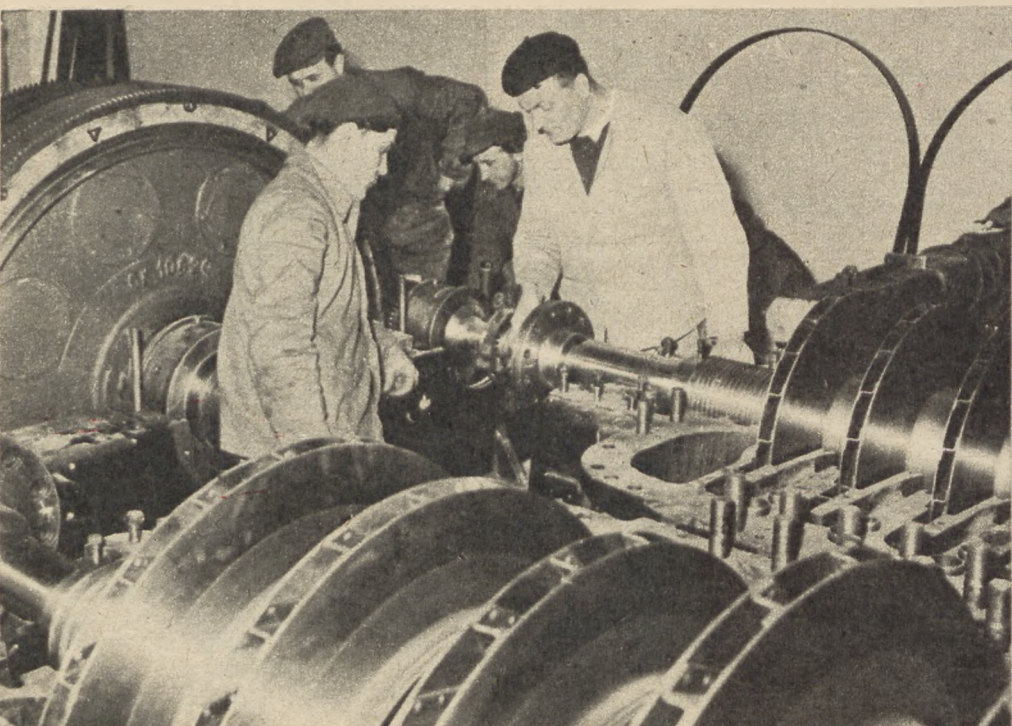


Ten most na wydziale saletrzaku jest w pewnym sensie historyczny — tu bowiem zrodził się pomysł wodewilu „Czarodziejskie azoty”, ułożonego przez pracowników zakładu.

Inżynier Weber w automatycznej nastawni kędzierzyńskiej siłowni. Tu jak nerwy zbiegają się przewody ze wszystkich ogromnych wydziałów pracującego już kombinatu.



Nowoczesne turbosprężarki przyjechały do Kędzierzyna z sąsiedniej Czechosłowacji. Montują je wspólnie czechosłowaccy i polscy inżynierowie, technicy i robotnicy



* KOMBINAT SZEŚCIOLATKI

* KOMBINAT SZEŚCIOLATKI *

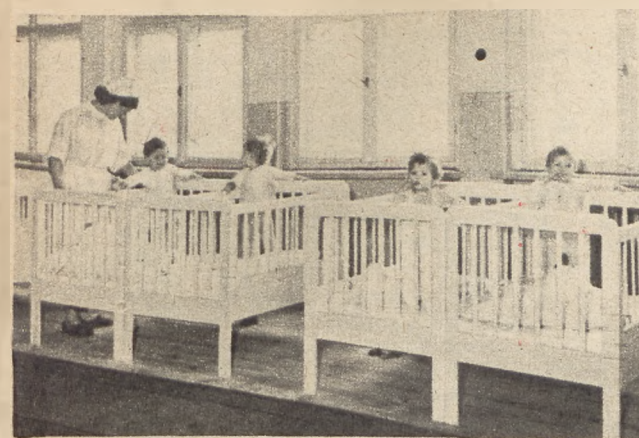
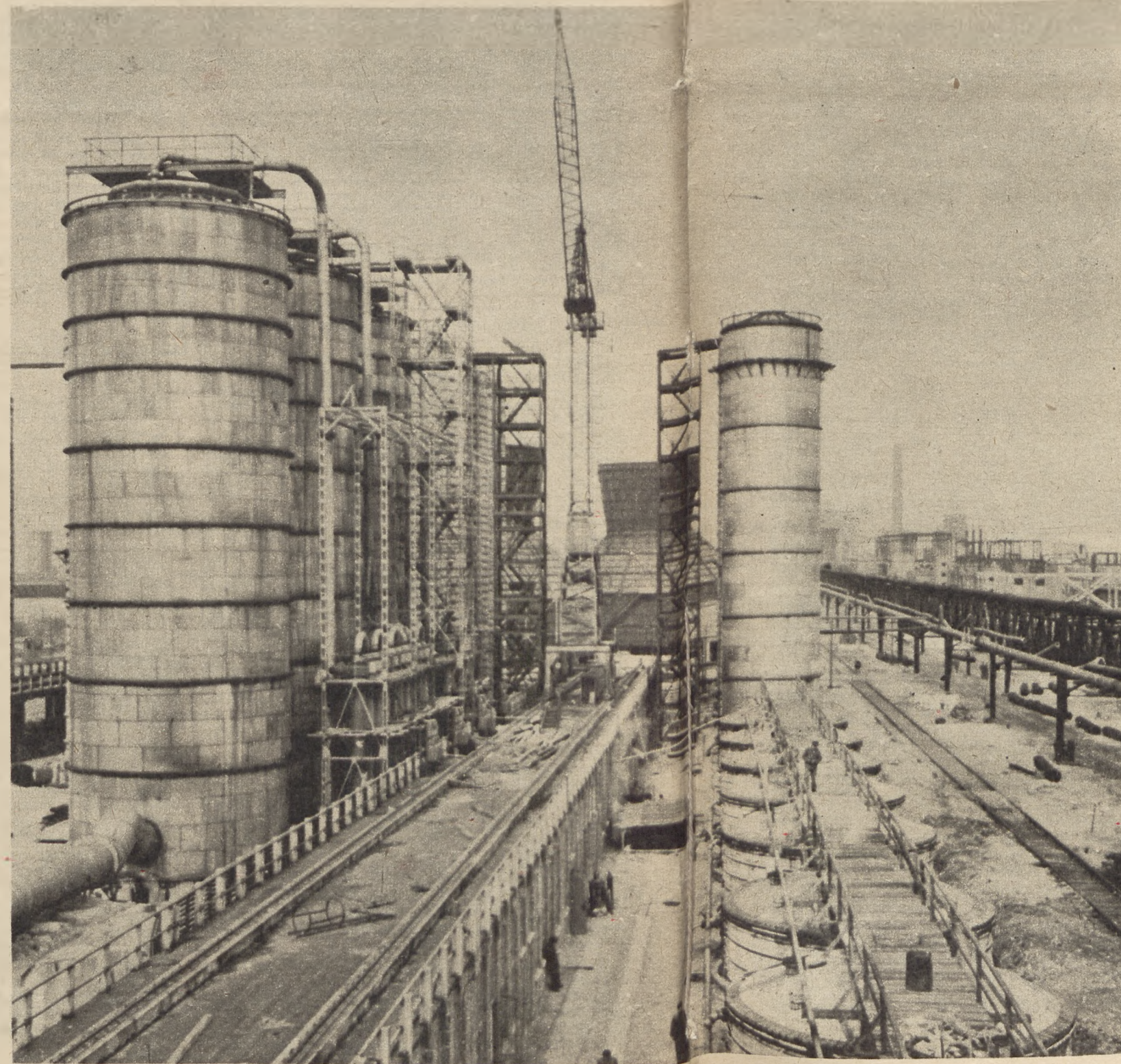
NAJMŁODSZY

Zdjęcia: WIESŁAW PRAŻUCH

Kombinat azotowy w Kędzierzynie jest najmłodszym dzieckiem naszej Sześciolatki — produkuje nawozy sztuczne zaledwie od miesiąca. Ten oto młody zakład znalazł się ostatnio w liczbie sześciu produjących przedsiębiorstw przemysłowych, które wystąpiły z inicjatywą czynu produkcyjnego na cześć święta 1 Maja. Zobowiązania kędzierzyńskich chemików przysporzą gospodarce narodowej milionowe oszczędności i dadzą naszej wsi już w kwietniu m. in. pięćset ton cennego nawozu sztucznego — saletrzaku granulowanego. W przeddzień podejmowania zobowiązań bawili w kędzierzyńskim kombinacie fotoreporter „Świata”. To, co zanotował kamerą w tym gigantycznym zakładzie, przedstawiamy dziś Czytelnikom.

* KOMBINAT SZEŚCIOLATKI

Tak wygląda jedna tylko część jednego z wydziałów kędzierzyńskiego olbrzyma — nowa bateria kolumn absorpcyjnych kwasu azotowego. Dzięki twórczej inwencji naszych konstruktorów oraz pomocy przyjaciół — Kędzierzyn staje się nie tylko wielkim, ale i nowoczesnym zakładem.



„Nasze mamy i taty robią nawozy azotowe, a nam się w kędzierzyńskim żłobku wcale nienajgorzej powodzi...”



Oni nie pracują naprawdę... albowiem jest to finał wodewilu „Czarodziejskie azoty”, wystawionego przez załogę.



Polaczek i Chłudek z ekipy łączności miasta ze wsią na prawiają teraz maszyny rolnicze POM-u z Reńskiej Wsi.



Kiedys odpoczywał tu po polowaniach prinż von Pless. Wkrótce mieścić tu się będzie sanatorium przyzakładowe.



Czerniak twierdzi: „Nasz saletrzak jest tak dobry i tak suchy, że nie musi przejść przez ostatnią suszarkę”.

„Został uruchomiony kombinat chemiczny w Kędzierzynie, produkujący nawozy azotowe. Trzeba sobie jednak zdawać sprawę, że jest to dopiero zapoczątkowanie produkcji na dużą skalę, której pełne rozwinięcie stanowi jedną z podstaw wzrostu rolnictwa w Polsce. Dlatego kombinat w Kędzierzynie powinien być otoczony największą opieką i traktowany jako budowa ogólnonarodowa...”

BOLESŁAW BIERUT
(z referatu na II Zjeździe PZPR)

Kędzierzyn sam jest mały, a kombinat kędzierzyński — ogromny. Pracownicy zakładów dojeżdżają z Olimka, Gliwic, Raciborza, Koźla i innych miejscowości. Mają oni do dyspozycji autobusy PKS i autokary zakładowe.





CYGANERIA WARSZAWSKA 1910-1913

WSPOMNIENIA I ANEGDOTY

PODOBNO w czasie pobytu cara Mikołaja w Warszawie Ludwik Gross został aresztowany, ale — jak twierdzą złośliwi — nie ze względów politycznych, tylko w obawie, żeby nie usiłował on pożyczyć od cara paru rubli. Trzeba jednak przyznać, że długi oddawał, a kiedy wpadły mu jakieś pieniądze, stawiał wino, obdarowywał ludzi pięknymi kwiatami i w ogóle miał tzw. gest.

Jeżeli już mowa o „sztuce pożyczania” — to nie sposób pominąć jednego z najbliższych przyjaciół Fiszerę, przemilego pianisty Karola Szustra. Jest to podobno człowiek, któremu udało się naciągnąć przyszłego papieża, a ówczesnie nuncjusza stolicy apostolskiej.



skiej, na pożyczanie mu 10 rubli. Po przyjęciu, na którym Szuster koncertował, tak długo lawirował on koło wyjścia, aż wreszcie znalazł się przy nuncjuszu. Znając włoski, podsadził nuncjusza do karety i pokornie poprosił go o podwiezienie, gdyż jadą w jedną stronę. Na odcinku między Aleją Róż a Placem Trzech Krzyży „ustrzelił” Jego Eminencję na 10 rubli. Znany był jego sposób pożyczania „na fotografaste”. Wyjmował on z kieszeni portrecik jakiegoś dwunastoletniego pensjonarki i ze łzami w oczach mówił, że to jego córeczka (nie miał on żadnej córki). „Biedactwo chodzi na pensję w moich podartych nocnych pantoflach. Czy nie pożyczylby pan dwóch rubli na bućki dla mojej Elżuni”. Kiedyś znów wpadł wzbudzony do „Udziałowej” i opowiadał, że ukradziono mu fortepian. „Wracam do domu, otwieram drzwi i staję jak wryty. Ktoś wyniósł mi fortepian. Nic poza tym nie zginęło. Zbieram na nowy. Pianista bez fortepianu — zero. Pożycz pan pięć rubli”.

Przeciwstawieniem cukierni „Udziałowej” była wielka modernistyczna kawiarnia Ostrowskiego na rogu Złotej i Marszałkowskiej, ulubione miejsce spotkań zamożnego mieszczaństwa i hochsztaplerstwa. Osobliwością tej knajpy były tak często wyśmiewane przez cudzoziemców „fajfy” w południe od godz. 1 do 3. Kiedy cały świat zajada steki i kotlety baranie, tu w przepychu sztucznych marmurów i tandetnego estetyzmu ten „elegancki” świat opycha się pączkami, napoleon-

kami i zalewa „czarną”. Stałą atrakcją tych niebывалых „fejów” były odbywające się tam nieoficjalne konkursy panusiek ucharakteryzowanych naiwnie na luksusowe „dziewczynki”. Puder, szminka, wyskubane brwi miały siał niepokój wśród wyelegantowanych szkodków. Ostatnie kreacje, utrzymane w tonie z modnymi lisami, małpami i psami. Świadczyć miały o możliwości i wzniecać pożary zawiści wśród rywalek.

Roje niebieskich płaszków, gigolaków i lauffbur-schów z czarnej giełdy reprezentują tzw. słodkich brutalii. Prawdziwe „dziewczynki” przebrane za grabinie z wyższych sfer przedstawiały tu naturalny sex-appeal. W ich to stronę zerkają tłumy kurtyzowanych z angielska młodzieńców. Cała ta menażeria świetnie siedziała w uzupełniających się ramach wypoconego przez jakiegoś miejscowego modernistę „nowoczesnego” wnętrza. Całość do rzygania — prawdziwy „rzyg moderny” i bardzo niewygodnie.

Byłem bodaj najmłodszym wśród kolegów, a wrodzona nieśmiałość powodowała, że się trzymałem nieco na uboczu. Niemniej jednak z wieloma kolegami łączyła mnie szczerza przyjaźń i wspólne przeżycia. Z rozróżnieniem wspominam wielu z nich i po dzień dzisiejszy. Nie brak tu też było typków, dziwaków, pozerów i oryginałów. Mentalność ich, styl życia, wygląd kształtowały się pod dwoma dominującymi wpływami: Krakowa i Paryża. Szkoła krakowska stylizowała się na „peleryniarzy”. A więc zaniedbany strój, czarne kapelusze z szerokim rondem i obowiązujący fontań. Grupa paryska nosiła meloniki, wymyślne sakpalty, przedziałki, słowem — dandyzm na całego. Widok „peleryniarzy” budził niepokój wśród „dobrze myślących” obywateli. Nie trzeba zapominać, że nie były to czasy spokojne. Po rozruchach 1905 roku ferment rewolucyjny dojrzewał i carscy szpicle i policja miały pełne ręce roboty. Ulicami od czasu do czasu przejeżdżały kozackie pikiety i po mieście krawczyły patrole leibgardii Litewskiego i Wołyńskiego Pułku. Jeden z peleryniarzy, Henio Czerny, szedł sobie z kasętą do szkoły. Odznaczał się on niewielkim wzrostem i dziwną twarzą o fascynujących czarnych oczach. Toteż widok faceta w szerokoskrzydłym kapeluszu anarchisty, dźwigającego coś pod włoką się niemal po ziemi pelerynę, zwrócił uwagę przechodzącego patrolu, który miał rozkaz legitymowania i rewidowania „podejrzanego” wyglądających typów. Zatrzymano go i zapytano, po rosyjsku naturalnie, czym się zajmuje. Speszony i przerażony widokiem brodatych olbrzymów z bagnietami, i niezbyt mocny w języku rosyjskim, Czerny poplątał podobno do siebie słowa i zamiast powiedzieć „ja chudożnik” (artysta- malarz) powiedział — kudiesnik (czarodziej).

— Ot padlec, czym to się zajmuje — wykrzyknął „unteroficer” i zabrano go do cyrkułu, gdzie podobno kazano mu kosztować wszystkie farby z kasety malarzkiej.

Rzecz prosta, że dla młodego człowieka, przybyłego z kresów i znającego tylko kijowski Kreszczatik (główna ulica Kijowa), Warszawa robiła wrażenie wielkiej metropolii, a tłumy facetów w melonikach i wyfiokowanych elegantek, przemyskających się przez ruchliwe, pełne knajp, cukierni i bogatych sklepów ulice, wydawały mu się Europą przez duże E. Naprawdę jednak Warszawa roku 1910 przedstawiała się dość groteskowo i brzydko. Obdrapane trzypiętrowe budy uśmiechały się dołem sztuczną szczęką fałszywego luksusu wystaw sklepowych i barów. Brzydotę blaszanych szyldów potęgowało jeszcze i to, że musiały one być w dwóch językach, po rosyjsku i po polsku. Po jezdni, prócz rozklekotanych drynd, paradowały furki chłopskie i dwupiętrowe żydowskie bryki pełne beczech, pak i gęsi. Na ważniejszych skrzyżowaniach czuwał beczynnie ubrany w znienawidzony, brzydki, czarny mundur „stójkowy”.

Ładniejsze dzielnice istniały przeważnie dzięki nagromadzeniu magnackich pałaców z okresu jurydy-

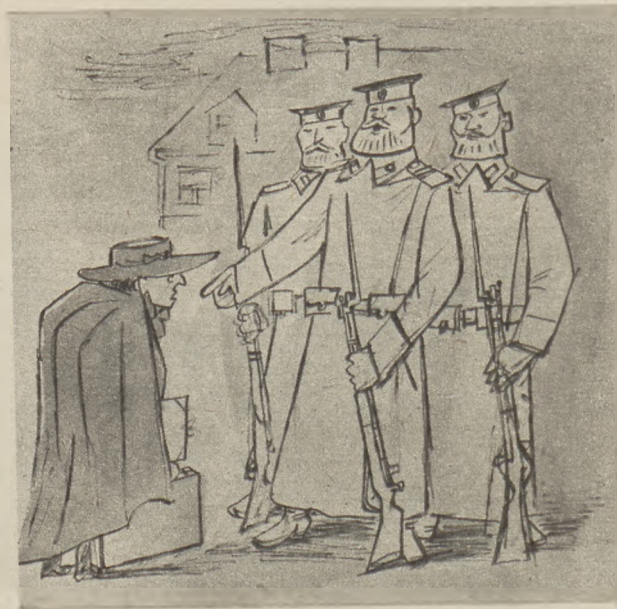
ki oraz pochodzących z czasów stanisławowskich monumentalnych budowli miejskich. Ulubione jednak przez warszawiaków powiedzonko, że Warszawa to Paryż północy, było grubą przesadą. Były tu też co prawda i parokni na gumach, i nocne szantany, gdzie liczni kupcy z Moskwy, Penzy i Saratowa załatwiali swoje lukratywne transakcje, zabawiając się na potęgę. Dla tych to bogatych i brodatych gości Warszawa była naprawdę Europą, pełną eleganckich lokali i sztywnych kobiet. Ale już od bardzo dawnych czasów Warszawa nie miała dobrej opinii w oczach turysty.

O zmroku jednak, kiedy kontury się zacierają, a linia dachów ginie w ciemności nieba, kiedy rozbłysną kule elektrycznych latarni, Warszawa przeistacza się nie do poznania. Fasady kamienic zaludniają się fantastycznymi postaciami z ubiegłej epoki. Pseudobarokowe amorki igrają wśród hipotecznej numeracji. Secesyjne Undyny ślą uśmiechy Giocondy znad blaszanych szyldów sławiących wyroby gumowe. Elegijne westchnienia epoki lamp gazowych, gorsetów i veravioleto gina w jaskrawym unerwieniu pierwszych reklam elektrycznych. Sklepy pachną wszystkimi pokusami świata: tu kawa „Arabii”, tam futra „Kamczatki” obok tureckich rogali Nurana. Dalej wyspy skarbów z całego świata, a raczej półświatka. Biżuteria, ciastka, lakierki, perfumy, a nade wszystko jedwabie. Obok, jak pointa, jak zakończenie tego brukowego romansu: skład broni — rewolwery systemu Browning. W sąsiedztwie kantor wymiany. Waluty, weksle, dewizy i inne rzeczy pachnące kryminałem. Tuż obok centrali dewiz — centrala snów — „Iluzjon”. Bary dyszą zgiełkiem i wyziewami. Duch bigosu unosi się tam nad wodami. Z półuchylonych drzwi cukierni dolatują tony „Wesołej Wdówki”. Obok sklep z trumnami. Na ich makabrycznym tle spacerują prymitywnie uszmiłkowane groszowe prostytutki.

Wędrowni w krainie wspomnień nie odbywają się nigdy w porządku chronologicznym. Nieraz jakieś spotkanie przypadkowe, jakaś zasłyszana melodia, widok jakiegoś zakątka miejskiego, czy nawet zapach jakiejś potrawy, budzą echa dalekich przeżyć i wystarczy tylko dać się ponieść przez chwilę zjawom przeszłości, a nabierają one koloru, nasycają się tętnem życia, wypełniają szczegółami, wzruszają i przez skojarzenia podciągają za sobą całe konstelacje innych, zbliżonych tematycznie przypomnień. Tak i teraz, gdy przenoszę się myślą do ówczesnego kipiącego życia rześkie oświetlonego Nowego Świata, do owych bocznych uliczek warszawskich, skąpo opatrzonych lampami gazowymi, — pejzaż miejski zaludnia się charakterystycznymi sylwetami wieczornej Warszawy.

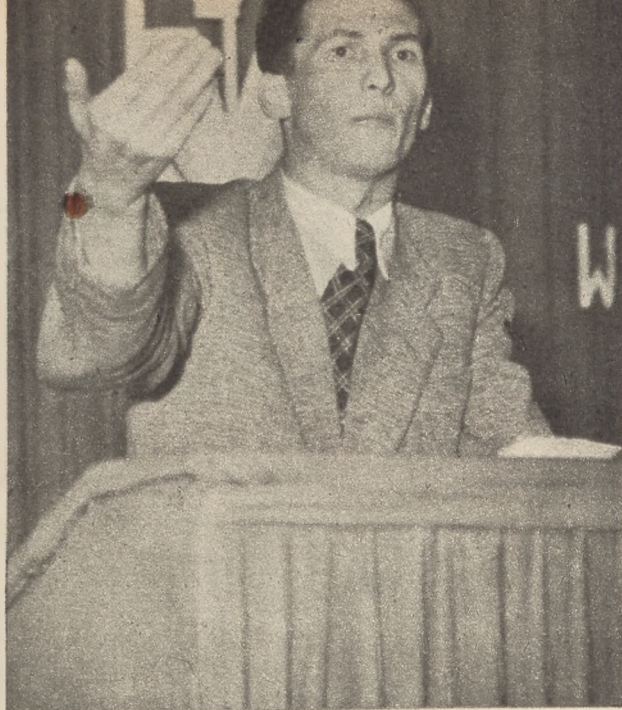
Oto idzie Kazimierz Lasocki. Potężna statua, tubalny głos, niewyszukane, lecz dowcipne kawały. Mawiał np. często, że jest jedynym malarzem, który nie żyje ze swymi modelkami: jak wiadomo, Lasocki malował tylko krowy. Był on któregoś tam roku sensacją słynnej, odbywającej się w salonach Teatru Wielkiego „tomboli”. Zjawił się mianowicie w kostiumie jaskiniowca, ubrany tylko w jakąś źle wyprawioną skórę z cielęcina. Wyglądał bardzo efektownie, ale w salonach tomboli powstała panika. Skóra tak cuchnęła, że w końcu policja kazała mu opuścić bal, prosząc, by się przebrał w mniej wonny strój wieczorowy.

Oto słynący ze swych najdłuższych wąsów, ubrany od rana we frak i cylinder, w płaszczu mikołajowskim z peleryną, idzie geograf Bazewicz. Kokieteryjnie podkręcając węża, szepce on coś na ucho dwóm chichoczącym modniarkom z olbrzymimi pudłami od kapeluszy.



Oto w brązowym meloniku, monoklu i szkockim palcie w kratę sunie mecenas Korwin-Piotrowski. Na widok ładnego buziaka zatrzymuje się i uśmiechając się zalotnie odprowadza wzrokiem przechodzącą dziewczynę. Zatrzymywał się dosyć często.

Prócz Lasockiego, Bazewicza, Korwin-Piotrowskiego — do stałych bywalców wieczornego deptaka na Nowym Świecie należał też astrolog Jan Aleksander Starza-Dzieźbicki. O nim to powiedział kiedyś Fiszer: „wyobraźcie sobie, że to indywiduum ośmieliło mi się dziś przyszłość”.



„Prokurator” Bruno Hołyst: „Wysoki Sądzie! Zdaniem oskarżenia dowody istniejące w niniejszej sprawie w całej rozciągłości potwierdzają winę Kamińskiego. Ale nie bądźmy gołosłowni: oto jak przedstawiają się fakty...”

Gdybyśmy byli „WYSOKIM SĄDEM”

MIROŚLAW AZEMBSKI

Zdjęcia: JAN KOSIDOWSKI

PRZEMÓWIENIE oskarżycielskie wygłasza Bruno Hołyst, młodzieniec jasnowłosy, o bladej nerwowej twarzy. Mówi spokojnie, rzeczowo, przejrzysto, jak przystało na prawnika, który chce przedstawić fakty i tylko fakty. Jeżeli wspomni o plamach krwi i o rozdzierających krzykach wśród nocy, to nie po to, aby wywołać dreszcz sensacji wśród zebranych. Będzie mu chodziło jedynie o ścisłe ustalenie, kto jest winny tej potwornej zbrodni.

A oto jak przedstawia się stan faktyczny.

2 września 195... roku do komisariatu M. O. zgłosił się niejaki Jan Kamiński, lat 26, zamieszkały przy ul. Waleńców, i złożył zameldowanie, że matka jego, Zofia Kamińska, opuściła poprzedniego dnia mieszkanie przy ul. Puławskiej 27 i od tego czasu nie powróciła.

Milicja wszczęła poszukiwania. Na próżno. Wywiadowca M.O. udał się na ulicę Puławską i stwierdził na miejscu, że w nocy z 1 na 2 września sąsiedzi słyszeli krzyki kobiety, dobywające się z pokoju Zofii Kamińskiej. Lokal ten zajmowała zaginiona wespół z córką Jadwigą Olską i synową Krystyną Kamińską (która miała rozwieść się z mężem).

Olska zeznała, że krytycznej nocy była u koleżanki poza Warszawą.

Krystyna Kamińska zaprzeczyła wersjom o rzekomych wołaniach kobiety.

W kilka dni później w parku Skaryszewskim znaleziono ciało Zofii Kamińskiej. Jak stwierdzili eksperci, została ona zamordowana siekierą. Jana i Krystynę Kamińskich oraz Jadwigę Olską zatrzymano, jako podejrzanych o morderstwo. Olska udowodniła swoje „alibi” i została zwolniona.

W więzieniu do oficera M.O. prowadzącego śledztwo zgłosiła się Krystyna Kamińska i oświadczyła, że mordercą jest jej mąż. W nocy z 1 na 2 września nocował u matki, gdzie zamordował ją podczas snu i wywiózł ciało do parku Skaryszewskiego. Krystyna Kamińska była świadkiem tej ohydnej zbrodni, lecz dotychczas milczała w obawie przed mężem.

Przyczyna morderstwa? Krystyna Kamińska nie umie nic na ten temat powiedzieć. Wiadomo jej tylko, że mąż od dłuższego czasu obawiał się aresztowania, o czym często rozmawiał z matką. Dopuszczając się malkobójstwa chciał prawdopodobnie pozbyć się osoby znającej jego tajemnicę.

Jan Kamiński zaprzeczył tym zeznaniom i oświadczył, że jest to zemsta ze strony żony, z którą miał się rozwieść. Uważa, że właśnie ona wespół ze swoim bratem Maszyńskim popełniła tę zbrodnię.

Maszyńskiego zatrzymano; okazało się jednak, że tego dnia nie było go w Warszawie: ukradł futro swojej ciotce i wyjechał...

Bruno Hołyst robi krótką pauzę. Poruszamy się na swoich miejscach wzburzeni. Ohydne, potworne! Ładna rodzinka!

Czas jednak uspokoić Czytelnika i wyjaśnić, że, na szczęście, nie jest to prawdziwy proces. Rzecz dzieje się

bowiem w konkursie krasomówczym dla młodych prawników, zorganizowanym przez warszawski oddział Zrzeszenia Prawników Polskich. Sprawa Kamińskich jest tylko jednym z tematów konkursowych, obok procesów o chuligaństwo, kradzież w uspołecznionym sklepie i tak dalej. Każdy uczestnik (student prawa lub praktykujący prawnik do lat 35) mógł wybrać sobie jeden z tematów i na podstawie materiału dowodowego z fikcyjnej rozprawy wygłosić przemówienie bądź oskarżycielskie, bądź obrończe.

Uff! Ponura wizja mordu przy ul. Puławskiej oddala się, zatraca swoje denerwujące kontury.

Ale wraca, niestety wraca. Świadczy to niewątpliwie o nieprzeciętnych zdolnościach mówcy, „prokuratora”, który przeszedł właśnie do formułowania wniosków oskarżycielskich. Bruno Hołyst zwraca się do nas wszystkich: „Wysoki Sądzie!”... I my, studenci, urzędnicy sądowi, krewni i znajomi uczestników konkursu — zgromadzeni na sali w liczbie dwustu — przeistaczamy się w trybunał sądzący Jana Kamińskiego.

„Oskarżony Jan Kamiński (tutaj „prokurator” wskazuje na zasiadającego w jury konkursu profesora Sawickiego) — jest winien! Świadczy o jego winie nie tylko zeznania żony, ale też niekonsekwencje w jego własnych zeznaniach. Opisując, jak spędził dzień 1 września 195... roku, powiedział na przykład, że wstąpił do sklepu i kupił kieszka pasztetową. Wysoki Sądzie, sprawdzono listy towarów i okazało się, że tego dnia w owym sklepie kieszki w ogóle nie było!”

Sypią się mniejsze i większe poszlaki, z drobnych, zdawałoby się nic nie znaczących faktów „prokurator” Hołyst buduje potężny gmach oskarżenia. Porywczy, despotyczny charakter Kamińskiego, dalej fakt, że w aktach gestapo znaleziono kartotekę konfidenta o tym samym nazwisku — wszystko przemawia przeciw oskarżonemu, przemawia ponad wszelką wątpliwość.

„Obrońca” Walery Namiotkiewicz: „Obywatele sędziowie, jeżeli na podstawie tych kilku niekompletnych, niejasnych przesłanek możecie powziąć przekonanie o winie oskarżonego, to proszę, wymierzcie mu najwyższą karę...”



Ciemna przeszłość okupacyjna — oto tajemnica, która znała zamordowaną matkę! Oto przyczyna zbrodni!

Tak jest. My, „wysoki sąd”, nabieramy niezbitego przeświadczenia o winie Kamińskiego. Przychylamy się do końcowego wniosku oskarżyciela: „Wysoki Sądzie, w ustroju socjalistycznym najwyższą wartością jest człowiek. I dla dobra tego człowieka, dla dobra całego społeczeństwa należy unieszkodliwić i ukarać ohydny matkobójcę. Żądam dla oskarżonego najwyższego wymiaru kary — kary śmierci”. Nie inaczej powinien brzmieć wyrok trybunału, konkludujemy, prawiając się w krzesłach.

Lecz sytuacja zmienia się radykalnie. Walery Namiotkiewicz jest „obrońcą” w tej samej sprawie (ciekawość, że największa liczba konkursantów wybrała właśnie ów proces poszlakowy; widocznie dawał on największą polę do popisu). Zdaniem obrońcy, dowody przeciw Kamińskiemu są niedostateczne. Kieszka pasztetowa? „Obywatele sędziowie, czy potraficie przypomnieć sobie, co jedliście na obiad w ubiegły piątek? Oskarżony mógł się mylić”. Obawa przed aresztowaniem? Owszem, ale czy ktoś, kto ma być aresztowany na przykład za kradzież, musi zaraz popełnić morderstwo, i to na własnej matce?

Obrońca burzy powoli potężny gmach oskarżenia. Podkreśla luki w postępowaniu dowodowym. Powołuje się na autorytety z zakresu kryminologii, daktyloskopii, hematologii, socjologii. Zatrzymuje się nad momentami psychologicznymi nie mniej wnikliwie, niż to kiedyś czynił stary Conan Doyle. Przecież człowiek, który popełnia morderstwo i chce sobie stworzyć „alibi”, postępuje wręcz odwrotnie niż Jan Kamiński: nie będzie opowiadał, że krytycznego dnia odwiedził matkę i nie zastał jej w domu. Nie, raczej starałby się udowodnić, iż znajdował się bardzo daleko od miejsca przestępstwa.

„Obywatele sędziowie — kończy obrońca wspaniałym zwrotem krasomówczym — jeżeli na podstawie tych kilku niejasnych, niekompletnych przesłanek, o jakich mówił przedstawiciel oskarżenia, możecie powziąć przekonanie o winie oskarżonego, proszę, skażcie tego tutaj oskarżonego na karę śmierci!” (tym razem oskarżonym Kamińskim jest... karkafka na stole prezydialnym).

Nie. My, „wysoki sąd”, w chwili obecnej nie jesteśmy tak bardzo przekonani o winie oskarżonego. Wyrok śmierci jest wyrokiem nieodwracalnym i nie może być powzięty pochopnie, bez stuprocentowych dowodów. Trybunał ludowy nie może popełnić popularnej na Zachodzie „sądowej pomyłki”. Jakże trudna i odpowiedzialna jest praca w ludowym wymiarze sprawiedliwości! Jakże ciężka byłaby nasza decyzja, gdybyśmy byli naprawdę „wysokim sądem”! Jakże ważna i odpowiedzialna jest funkcja oskarżycieli i obrońców — jak cenna jest ich pomoc przy ustalaniu prawdy materialnej. No, na szczęście, wszystko to — jak powiedzieliśmy — nie dzieje się „na serio”! Wysłuchamy wyników konkursu i pójdziemy na kawę do cukierni „Nowy Świat”.

Jest już późno, ukośne promienie słońca oświetlają twarze zgromadzonych. Oczekujemy na jury, które wkroczy za chwilę: siedmiu wybitnych prawników z prezesem warszawskiego ZPP Januszem Gumkowskim na czele. Komu przyznają nagrody?

Ktoś siedzący przede mną powiedział nachylając się do sąsiada:

— Sprawa Kamińskiego jest oparta na autentycznym materiale sądowym. Uczestnicy konkursu oczywiście otrzymali materiał skrócony, pewnego rodzaju schemat rozprawy. Prawdziwy „Kamiński” istnieje i nazywa się Pieniżkiewicz. Skazany został na karę śmierci, wniósł odwołanie i niebawem rozpocznie się jego proces przed Sądem Najwyższym. O, tam, w pierwszym rzędzie na prawo siedzi sędzia, który przewodniczył trybunałowi w pierwszej instancji...

Zrobiło mi się bardzo nieswojo. A więc Kamiński jest postacią autentyczną i czeka na rozstrzygnięcie swojej sprawy...

Za stołem prezydialnym zajęli tymczasem miejsca członkowie jury.

Pierwszą nagrodę otrzymał Walery Namiotkiewicz — obrońca w procesie karnym.

Drugą nagrodę — Wojciech Mieroszewicz, popierający powództwo w procesie cywilnym.

Trzecią nagrodę — Bruno Hołyst, oskarżyciel w procesie karnym.

...Proces karny fikcyjnego i prawdziwego Kamińskiego... Proces fikcyjny przyniósł jak najlepsze rezultaty: wyłonił kilku doskonałych młodych mówców.

Proces prawdziwy? Wyrok ludowego sądu będzie wyrokiem sprawiedliwym.



POETA I MALARZ

W ROKU 1929 Sergiusz Eisenstein, genialny radziecki reżyser filmowy, twórca „Pan-cernika Potiomkina” i „Października”, wyjechał wraz ze swoimi najbliższymi współpracownikami — Grzegorzem Aleksandrowem i Edwardem Tisse, operatorem filmowym, w podróż po świecie. Początkowo bawili oni w Niemczech, Francji, Szwajcarli i Anglii, jesienią 1929 r. wyjechali do USA. Tu Eisensteinowi, artyście światowej sławy, twórcy nowoczesnego filmu, zaproponowała wytwórnia „Paramount” zrealizowanie filmu wg. „Tragedii amerykańskiej” Dreisera. Eisenstein odmówił: warunki, jakie stawiała wielka wytwórnia, daleko odbiegały od wymagań, z jakimi spotykał się dotychczas radziecki artysta. Nie wiedział, że wkrótce padnie ofiarą tego samego systemu, który reprezentował „Paramount”. W Ameryce poznał Eisenstein młodego filmowca meksykańskiego, Augustina Aragona Leivę, i za jego namową wyjechał do Meksyku, aby tam kręcić film, którego tytuł brzmiał „Que viva Mexico!”. Stroną finansową przedsięwzięcia zajął się pisarz amerykański Upton Sinclair, zastrzegając sobie jednocześnie prawo własności nakręconego materiału. Meksyk, jego wspaniała przyroda, jego zabytki, jego ludzie i prastara kultura zrobiły na Eisensteinie ogromne wrażenie. Odkrycie tego kraju było dla artysty wielkim oświeceniem. Podróżując wraz z towarzyszami po Meksyku Eisenstein napisał poemat prozą, który miał stać się podstawą „filmowej symfonii o Meksyku”. „Que viva Mexico!” miał pokazać w sześciu częściach — prologu, czterech nowelach i epilogu — z których każda utrzymana być miała w innym stylu, poetycką historię kultury meksykańskiej, najpiękniejsze obyczaje ludu Meksyku, jego pieśni, utrwalił krajobraz kraju, różnorodny i przebogaty. Rok pracował Eisenstein i jego towarzysze nad tym filmem, nakręcając 170.000 stóp taśmy, chociaż film miał mieć jedynie 10.000 stóp. Eisenstein czuł, że „Que viva Mexico!” może stać się jednym z najwybitniejszych jego dzieł. Opowiadając proste historie o ludziach Meksyku, historie tak proste, że aż prawie banalne, film zamknął w sobie nie tylko obrazy z historii tego kraju, ale pokazał również lud meksykański, który przez cały błąd swojej historii marzył o lepszym, szczęśliwym życiu, czego szczytowym wyrazem była wojna domowa w r. 1910, wojna, która otworzyła przed ludem meksykańskim nowe, wspaniałe życie. Widzę tego życia zawari Eisenstein w epilogu filmu.

Nie dane było jednak Eisensteinowi dokończyć swego dzieła. Sinclair, zwyczajem kapitalistycznych producentów, oczekiwał na zyski. Tymczasem przesłany mu przez Eisensteina, w miejsce scenariusza filmu, poemat prozą nie wzbudził interesu. Ponadto niepokoił Sinclaira metry taśmy z przeplęknymi, ale nie zapowiadającymi „kasowego” kapitalistycznego filmu zdjęciami. Przestraszony tym wszystkim, nie rozumiejąc, że pod słońcem Meksyku powstaje jedno z największych dzieł sztuki filmowej, Sinclair cofnął subsydia. Eisenstein rozgoryczony wraca do USA, a stąd do ZSRR, nie skończywszy filmu, a nawet nie mając rozpoczętych zdjęć do czwartej opowieści — „Soldadera”.

Los tysięcy metrów taśmy nakręconej przez Eisensteina jest typowy dla filmu kapitalistycznego. Sinclair proponuje sprzedaż taśmy radzieckiej firmie Amkino, żądając za nią od walczącego z ogromnymi trudnościami gospodarczymi państwa radzieckiego 90.000 dolarów. Rzecz jasna, w tych warunkach zakup taśmy był niemożliwy. Wtedy Sinclair ogłasza przetarg, wyznaczając sumę 100.000 dol. Przyjaciele Eisensteina na całym świecie starają się zebrać tę sumę i oddać film reżyserowi, bez powodzenia jednak. Wtedy Sinclair angażuje montażystę Sol Lessera, dobrego fachowca, ale nie mającego pojęcia o założeniach artystycznych Eisensteina, którego metoda twórcza opierała się przecież głównie na montażu. Lesser montuje część filmu, kierując się jedynie fabularnym zwłazkiem scen (co było zupełnie obce metodzie Eisensteina) i powstaje z tego film pt. „Burza nad Meksykiem”, zawierający prolog, jedną opowieść („Maguey”) i epilog. Film ten, bezprawnie wyświetlany pod nazwiskiem Eisensteina, budzi gorące protesty w postępowych kołach filmowych, które widzą w nim gwałt, dokonany na dziele jednego z największych filmowców świata. Z pozostałych skrawków zrobiono jeszcze jeden krótki film pt. „Dzień śmierci”, również fałszywy jak i poprzedni. W roku 1939 Mary Seton, jedna ze znanych zwolenniczek Eisensteina, podejmuje próbę odkupienia materiału od Sinclaira, również bez powodzenia. Udaje jej się jedynie zmontować wspólnie z Paulem Buisfordem niewielki (na 16.000 stóp) film pt. „Czas w słońcu”. W roku 1941 Sinclair sprzedaje resztę taśmy spółce Bell and Howell, którzy to panowie tną film Eisensteina na kawałki i sprzedają biblioteczce filmowej w Ameryce jako „materiały szkoleniowe”. W ten sposób rozkawałkowane, zniszczone zostało przez świat kapitalizmu jedno z największych dzieł sztuki filmowej. Został też jedynie szereg wspaniałych obrazów największego malarza w historii filmu i prozatorski poemat filmowego poety.

Zamieszczamy poniżej przekład prologu i epilogu filmu, streszczenie czterech nowych oraz kilka zdjęć, które pokazać mogą choć niewielki ułamek dzieła, które nigdy nie zostało ukończonych.

KTT

„QUE VIVA MEXICO”

PROLOG

C ZASEM, w którym odbywa się prolog, jest wieczność. Mogło to być dzisiaj. Mogło być równie dobrze dwadzieścia lat temu.

Lub tysiąc.
Mieszkańcy Yucatan, kraju ruin i ogromnych piramid, zachowali bowiem w formach i treści charakter swoich przodków — wielkiej rasy starodawnych Mayów.

Glazy —
Ludzie —
Bogowie —
Uczestniczą w prologu.
W odległych czasach...

W kraju Yucatan, wśród pogańskich świątyni, świętych miast i majestatem piramid. W królestwie śmierci, gdzie przeszłość przeważa jeszcze nad teraźniejszością — bierze początek nasz film.

Symboliem przywołanej na pamięć przeszłości, pożegnaniem przesłanym starodawną cywilizacji Mayów jest ponury obrządek pogrzebowy. W obrządku tym uczestniczą idole z pogańskich świątyni, kamienne maskarony bogów, zjawy przeszłości.

Na ile grup kamiennych wyobrażeń, maskaronych, płaskorzeźb i żywych ludzi odbywa się pogrzeb.

Ludzie podobni są do kamiennych postaci, gdyż postacie te przedstawiają twarze ich przodków.

Ludzie zdają się zastęgać w glazy nad grobami dawno pomarłych, w jednakowych pozach, z jednakowymi twarzami, jak ci, których rysy wieją stare kamienie.

Różnorodność jakby w kamień obróconych grup ludzkich i grup pomników — przepływa powoli przez ekran.

I tylko dziwny rytm muzyki z Yucatan i wysoka, uderzająca pieśń Mayów towarzyszy zastępie procesji.

Tak kończy się prolog — uwertura filmowej symfonii, sens której rozwija się w czterech opowieściach i wieńczącym je finale.

OPOWIEŚĆ PIERWSZA: SANDUNGA

TROPIKALNY Tehuantepec, przesmyk między Oceanem Spokojnym a Atlantyckim, niedaleko granic Guatemali. Czas nie istnieje w Tehuantepec. Czas mierzony jest sennym kołysaniem palm i rytmem obyczajów, a obyczaje nie zmieniają się z roku na rok.

Słońce budzi okolice ze snu. Dziewczeta kąpią się na brzegu morza. Towarzyszy im stara pieśń — „Sandunga”. Inne przygotowują się do mającego się odbyć jarmarku. Wyróżnia się wśród nich niezwykłą urodą dziewczyna imieniem Concepcion. Przysłuchuje się ona pieśni przyjaciółek i oddaje się marzeniom. Otaczające ją kwiaty zmieniają się w złoto. Przedmiotem jej marzeń jest złoty naszyjnik, który przynosi szczęście i męża. Zbliża się jarmark. Dziewczeta wystawiają swoje towary — kwiaty, owoce, niezwykle ryby o czterech oczach, które spotkać można tylko w Tehuantepec. Za każdym razem, gdy Concepcion otrzymuje złotą monetę w zamian za swe towary, staje jej przed oczyma złoty naszyjnik. Do spełnienia marzeń o naszyjniku ze złota brakuje jej już tylko jednego, największego, centralnego krążka. Wreszcie dostaje i ten. Jest szczęśliwa.

Ludność Tehuantepec zbiera się na zabawę. Przybywa tu również Concepcion, przy-

strojona w nowy naszyjnik. Spotyka swego „novio” (narzeczonego) Abundio. Teraz może zostać jego żoną. Ale matka Abundio jest podejrzliwa: dokładnie ogląda skarb Concepcion. Oględziny wypadają pomyślnie — naszyjnik jest z prawdziwego złota. Opowieść kończy się obrazem rozesmianych rodziców pochylonych nad dzieckiem. Towarzyszy im stara pieśń — „Sandunga”.

OPOWIEŚĆ DRUGA: MAGUEY

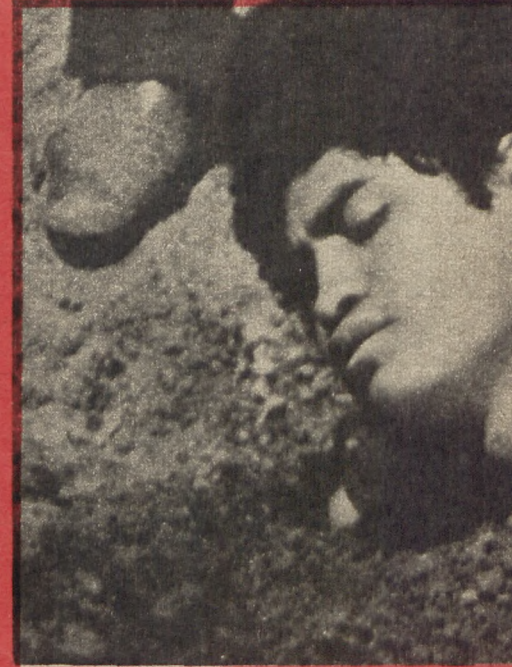
AKCJA opowieści odbywa się w stanie Hidalgo, w kraju Llanos de Apam w początkach bieżącego stulecia, w czasie dyktatury Porfirio Diaza. „Gwałtowność, okrucieństwo i nędza dominują w tej opowieści. Jak biegun północny różni się od Ekwadoru, tak różni się słynny Llanos de Apam od bajecznego Tehuantepec” — czytamy w scenariuszu. Różni się sposób życia, charakter i obyczaje mieszkańców. Nad krajobrazem górują olbrzymie kaktusy zwane Maguey. Wyrabia się z nich napój zwany „pulque”, biały jak mleko, lecz burzący krew.

Sebastian jest peonem, chłopem pracującym na polach między kaktusami. Pracy peonów towarzyszy smutna pieśń „El Alabado”. Sebastian spotyka się ze swoją narzeczoną, Marią. Zbliża się dzień ich ślubu. Stary oyczą nakazuje Sebastianowi przedstawić Marię swemu panu i Sebastian prowadzi ją do haciendy obszarnika. Ale straż nie wpuszcza Sebastiana. Maria wchodzi sama. Pan siedzi na werandzie w towarzystwie rozbawionych gości. Pan jest w dobrym humorze. Daje Marii parę monet jako prezent ślubny. Lecz w tym momencie zajeżdża powóz wiozący córkę właściciela, Sarę, i jej kuzyna. Następuje powitanie. Maria stoi z boku zapomniana przez wszystkich. Korzystając z zamiętu zbliża się do niej jeden z gości i wciąga ją w głąb domu. Jeden ze służących, przyjaciel Sebastiana, donosi o tym czekającemu na dworze narzeczonemu. Sebastian wpada na werandę, rozpoczyna się bójka, w której szybko zostaje obezwładniony i wyrzucony za drzwi. Wtedy wraca z głębi domu ów gość. Pan jest w dobrym humorze, nie chce psuć zabawy. Cały incydent idzie w zapomnienie. a Maria zatrzymana zostaje w haciendzie właściciela. Nocą Sebastian obmyśla zemstę, podpala stogi i odwracając tym uwagę straż, się odbić Marię. Straże uniemożliwiają jednak ten zamiar. Sebastian wraz z przyjaciółmi musi uciekać. Nad ranem dopada ich pościg. Sebastian ginie w walce. Martwe jego ciało zagrzebane zostaje między kaktusami, na polu, gdzie zawsze pracował.

Wypuszczona na wolność Maria przychodzi, aby po raz ostatni zobaczyć swego ukochanego, który zginął w obronie jej czci.

OPOWIEŚĆ TRZECIA: FIESTA

FIESTA podobnie jak i „Maguey” rozgrywa się w latach poprzedzających rewolucję meksykańską r. 1910. Tłem opowieści jest sceneria stworzona przez najpiękniejsze pozostałości po kolonizacji hiszpańskiej, tak w sztuce, jak w budownictwie i obyczajach Meksyku. Opowieść utrzymana jest całkowicie w stylu hiszpańskim. Wszystko, co ciekawego przyniesli do Meksyku Hiszpanie — hiszpański barok i walki byków, stroje i romantyczna miłość — wszystko to znajduje się w opowieści.



Odbyna się doroczny festyn w dniu Świętej Dziewicy z Guadelupy. Sciągają tłumy pielgrzymów. Szykuje się maskarada. Duchowni przygotowują obrządki. Piękności przywdziałają stroje, w których wystąpią jako „królowe” na walkach byków. Sposobią się również bohaterowie tej opowieści — słynni matadorzy. Najpilniej stroi się dbały o swój wygląd picador Don Juan Boronita. Dziś po walkach — jeśli je przeżyje — spotka się z kobietą, żoną innego mężczyzny. Walki rozpoczynają się. Boronita wchodzi na arenę witalny ciekawymi spojrzeniami kobiet. W czasie walk główny bohater widowiska, słynny matador David Liceaga, dokazuje cudów zręczności i odwagi igrając na krawędzi śmierci. Byk, nie mogąc dostać matadora, rzuca się z nienacką na Boronitę i wali go z konia. Picador musi ratować się ucieczką. Mimo tej hańby senora Calderon nie wzgardził swym kochankiem. Przeciskając się przez barwny tłum, mijając tancerzy przed bazyliką Sw. Dziewicy z Guadelupy. W tłumie omal ze nie wpadają na senora Calderon. Tym razem jednak uchodzą niebezpieczeństwu. Znajdują ustronne miejsce wśród krzewów i skał. Tu, nie pamiętających o świecie, dopada ich senor Calderon z dobytym pistoletem. Boronita cudem prawie zdola zbiec. Dźwięki tradycyjnej piosenki Fiesty kończą dzień.

OPOWIEŚĆ CZWARTA: SOLDADERA

RZECZ dzieje się w dniach rewolucji 1910 r. Na ekranie zjawiają się obozowiska wojskowe, bitwy i przemasze. Widzimy małą wioskę pełną uzbrojonych kobiet, które wśród wrzawy rekrutują mieszkańców drób i produkty żywnościowe. To „soldaderas” — żony żołnierzy armii rewolucyjnej. Zdobywają pożywienie i szukają kwatery dla swych mężów. Jedną z żołnerek jest Pancha. Do wioski wracają strudzeni żołnierze. Pancha odnajduje wśród nich swego męża — Juana. Podczas gdy Juan odpoczywa, Pancha pierze jego koszulę i czyści broń. Dookoła nich gwar żołnierzy i „soldaderas”. Dzieci bawią się błyszczącymi nabojami. Nad ranem żołnierze wyruszają do walki. Towarzyszy im piosenka wojskowa — „Adelita”. Trwa bitwa. Juan walczy wraz z innymi. „Ora... arriba... Adelante...” — salwy wystrzałów brzmią jak słowa piosenki. We wsi „soldaderas” modlą się do świętych obrazów. Po bitwie żołnierze powracają. Są wśród nich ranni i zabici. Pancha odzyskuje Juana — jest zdrowy. Równocześnie jednak dają znak do odmarszu. Żołnierze odjeżdżają, za nimi z kuchniami i dziećmi ciągną „soldaderas”.

Pancha jest w ciąży. Z jednej z bitew Juan nie wraca — przynoszą jego ciało. Pancha grzebie go w samotnej mogile i wraca do obozu dźwigając niemowlę. Podchodzi do niej jakiś żołnierz i odbiera dziecko z jej rąk. Pancha opiera się ciężko na ramieniu nowego męża.

Wojna domowa kończy się. Dźwięki „Adelity” brzmią mocno i zwycięsko. Radość wśród żołnierzy. Na sztandarze odczytać można słowa: „Ku rewolucji”. „KU NOWEMU ZYCIU” — dopowiada głos autora.

EPILOG

CZAS i miejsce akcji — współczesny Meksyk. Współczesny Meksyk na drogach postępu, cywilizacji i dobrobytu. Fabryki, drogi żelazne, porty z ogromnymi okrętami, zamczyska, parki, muzea, szkoły, stadiony sportowe. Dzisiejsi ludzie. Kierownicy kraju. Generałowie. Inżynierowie. Lotnicy. Budowniczości nowego Meksyku i Dzieci — ludzie Meksyku przyszłości. Praca fabryk. Walkot silników samolotowych. Syreny zakładów pracy. Współczesny... cywilizowany... przemysłowy Meksyk zjawia się na ekranie. Traktory, zapory, koleje żelazne. Zgiełk wielkiego miasta. Nowa technika. Nowe domy. Nowi ludzie. Lotnicy. Szoferzy. Inżynierowie. Oficerowie. Technicy. Uczniowie. I przywódcy narodu, prezydent, generałowie, mezoowie stanu. Życie, ruch, tworzenie nowego, energiczni ludzie... lecz jeśli spojrzysz uważnie, dostrzeżesz w miastach i na wsi te same twarze.

Twarze przypominające tych, którzy grzebali starożytność w Yucatan, tych, którzy tańczyli w Tehuantepec, którzy śpiewali Alabado, którzy tańczyli dzwinnym obyczajem wokół świętyń, walczyli i gineli w bojach rewolucji.

Te same twarze — lecz odmienni ludzie. Odmienny kraj. Nowy, cywilizowany naród. Lecz co to? Za zgiełkiem maszyn fabrycznych, Za rewolucyjnymi oddziałami, Po przemówieniach prezydenta i rozkazach generałów — idzie śmierć i tańczy!

Nie jedna, lecz wiele śmierci; wiele czaszek, szkieletów...

Co to być może? To karnawałowe widowisko. Pradawny, tradycyjny pochód „Calavera”, dzień śmierci.

Film zaczyna się u królestwie śmierci. Kończy się zwycięstwem życia nad śmiercią, nad gniołącym ciężarem przeszłości.

Życie wygląda spoza tekturowych szkieletów, prze naprzd i śmierć cofa się, ustępuje. Mały, wesół Indianin ostrożnie niesie trupa czaszkę i śmieje się szerokim uśmiechem — uosabia on nowy, powstający Meksyk.

ŚWIETNA CELIMENA I ZŁY „MIZANTROP”

AUGUST GRODZICKI

TRZEBA pójść do Teatru Kameralnego w Warszawie na „Mizantropa”, aby zobaczyć Janinę Romanównę. Ta świetna aktorka znajduje się w najpełniejszym rozkwicie swych sił twórczych. Każda jej rola — a niestety ciągle zbyt mało jeszcze oglądamy ją na scenie — jest nowym pięknym osiągnięciem. Wspominamy z zachwytem znakomitą Elwirę w „Mężu i żonie” Fredry. Mamy w świeżej pamięci niezwykle kreację królowej Bony w sztuce Morstina „Polacy nie gęsi”. A teraz Celimena w komedii Moliera.

Romanówna nieskazitelnie utrzymuje styl tej wykwintni si salonów epoki Ludwika XIV. Styl ten wyraża w każdym ruchu ręki, przechyleniu głowy, geście, jakim zapala fajkę, sposobie noszenia stroju. Ale nie są to tylko rysy, które oddawałyby jedynie zewnętrzny portret Celimeny, jakkolwiek starczą one na pokazanie uroku, jaki ona dookoła roztacza. Postać ta gra całym bogactwem odcieni. Jest w niej przede wszystkim wielki zasób kobiecości — takiej, jaką stwarzało życie wytwornych dam ówczesnego wielkiego świata. A więc kapryśność i zmysłowość rozpróżniaczonej kotki — Romanówna potrafi to podkreślić nieznacznym, ale wymownym, leniwym przeciągnięciem ramion. Perwersja i wyrafinowanie, kokieteria kobiety przyzwyczajonej do holdów i znającej moc działania swych wdzięków — Romanówna sugeruje nam to wymową swych spojrzeń, pod którymi topnieją wszystkie wymierzone przeciw niej argumenty. I zepsucie, które nie rozumie żadnych więzów moralności — Romanówna przynajmniej się do grzeszków Celimeny ma w swym głosie rozbrajającą naiwność, wydaje się mówić: to jest tak naturalne, że nie wiem, czego właściwie ode mnie chcecie. A dodajmy do tego jeszcze inteligencję i dowcip — Romanówna umie je po mistrzowsku zaakcentować w dialogu zwłaszcza wtedy, kiedy ma tak znakomitą partnerkę jak Mieczysława Ćwiklińska.

Ta ulubienica Warszawy, witana zawsze przez publiczność serdecznymi oklaskami, gra inną damę ze światka salonów, Arsenę, taką, jaką się stanie Celimena za lat kilkanaście: złośliwą i obłudną plotkarkę, polującą jeszcze na amatorów swych przekwitłych wdzięków. Ćwiklińska jak zawsze tak i w tej roli okazuje swą nieporównaną siłę komiczną, jest śmieszna w każdym odezwaniu się i w każdej minie. Mówi ślicznie wiersz i świetnie prowadzi dialog. Aby to usłyszeć i zobaczyć, trzeba również pójść do Teatru Kameralnego.

Niestety — to wszystko, co można dobrego powiedzieć o tym przedstawieniu. Poza tym trzeba przed pójściem do teatru kupić sobie egzemplarz „Mizantropa” i przeczytać tę wspaniałą komedię Moliera, aby pojąć jej wielkość i zrozumieć, o co w niej chodzi. Bo nie można się tego dowiedzieć z samego przedstawienia, w którym jej sens nie dociera do słuchacza, które tchnie nudą i którego nie mogą uratować dwie wspomniane kreacje aktorskie.

„Mizantrop” jest wyjątkowym dziełem w twórczości Moliera. W różny sposób odczytywano tę komedię w ciągu wieków. Różnych doszukiwano się w niej myśli i koncepcji. Mamy tu bogatą i zróżnicowaną galerię typów z dworskiego świata. W świecie tym rządzi kłamstwo, oszustwo, fałsz, plotka, przekupstwo, próżność.

„Gdzie spojrzeć, wszędzie zgraja pochlebców przebrzydła. Podstęp, niesprawiedliwość, zdrady, fałszu sidła. Dłużej już nie wytrzymam, dławie się; a zatem Wolę do upadłego walczyć z całym światem”.

Tak mówi w „Mizantropie” Alcest, młody szlachcic, który nie może znieść brudów tego życia, choć sam zakochany jest bez pamięci w Celimenie, będącej pełną wyrazicielką tego świata, z którym pragnie walczyć. W końcu za-

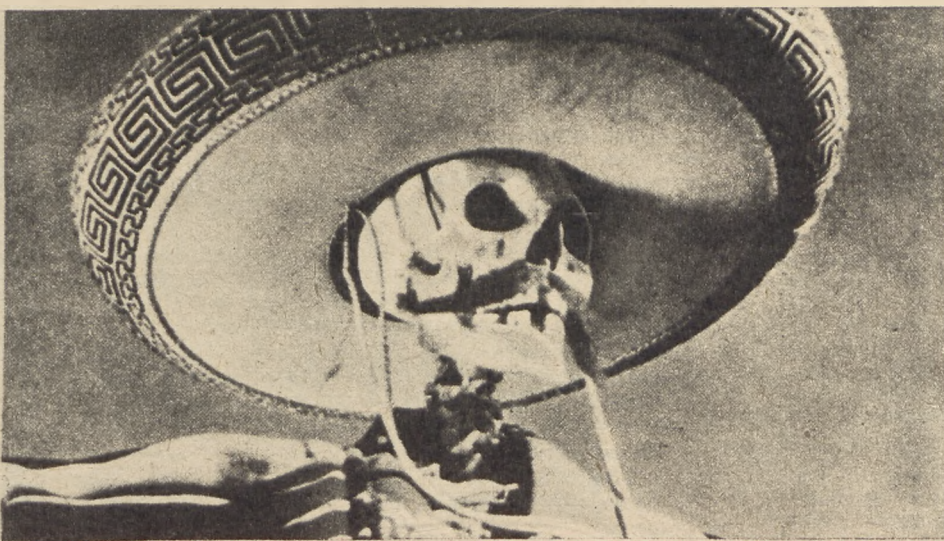
wiedziony we wszystkich swych nadziejach postanawia wycofać się z tego życia i osiąść „w pustkowiu”, to znaczy gdzieś w samotności, na prowincji. W postać Alcesta Molier wcielił kawał siebie samego — choć oczywiście nie można tu mówić o jakiejś identyfikacji autora z bohaterem komedii. Wyposażył go w siłę polemiczną atakującą środowisko dworskie. Dał mu żar uczucia miłości, którego nigdzie indziej w twórczości Moliera nie spotkamy. Ile w tym zamknął własnych przeżyć! Zważmy, że sam grał Alcesta, gdy w roli Celimeny występowała jego ukochana, a równie jak ona płocha Aimanda. Alcest jest chwilami tragiczny, a chwilami komiczny, kiedy jego prawdomówność stawia go w zabawnych sytuacjach życiowych. Cierpienie łączy się w nim z ironią. Czulość z wybuchami gniewu. Jest to postać bogata i złożona.

Nie z tego nie zobaczyliśmy w Teatrze Kameralnym. Był to „Mizantrop” bez Alcesta. Zamiast uroczonego, zapalczywego człowieka, o którego — mimo jego dziwactw — ubiegają się w komedii trzy kobiety, ujrzeliśmy starszego, zgryźliwego pana, rezonera, który swymi ciągłymi pretensjami może tylko denudować otoczenie. Takim Alcestem był Janusz Warnecki, równocześnie reżyser przedstawienia. Nie budził współczucia dla swych zawodów miłosnych. Pozbawiony był też wszelkich elementów komediowych. Nie dziwimy się, że Celimena nie chciała pójść z nim „w pustkowie”. Zanudziłby ją na śmierć!

I reszta obsady była nieporozumieniem. Antoni Różycki jest bardzo dobrym aktorem, starsze pokolenie pamięta go jako doskonałego amanta. Ale jego Filint nie budzi przekonania jako zdobywca serca młodzianki Elanty. Filint to sceptyk, pobłażliwie i lekko patrzący na wszystkie podłości swego świata i doskonale z nimi pogodzony, dobry przyjaciel Alcesta, z wyrozumiałością przyjmujący jego wybryki. Różycki w tej roli mówił wprawdzie dobrze wiersz — czego nie można powiedzieć o wszystkich wykonawcach — ale poza tym nudził się wyraźnie. I nie tylko siebie. A Elanta to nie zahukane, pocziwe dziewczę, jak to oglądamy na scenie, ale sprytna „uboga krewna”, która pragnie wygrać swoją najlepszą szansę życiową. Poza tym mamy w przedstawieniu jeszcze kilku bikiniarzy z dworu Ludwika XIV...

W sumie zaś nie ma w tym ani trochę Moliera. Fałszywa gra stwarza fałszywe rozumienie utworu. W końcu widz największą dozę sympatii czuje dla Celimeny. Ale chyba nie o to chodziło autorowi i teatrowi wystawiającemu arcydzieło Molierowskie.

KAWA SŁODOWA
zdrowa, smaczna i odżywcza



Notatnik zapalenca

KAWAŁ BEZ BRODY

W IADOMOŚĆ, którą podał „Przegląd Sportowy”, była zaiste sensacyjna: „Celem jeszcze większego umasowienia piłki nożnej i podniesienia jej poziomu na terenach dotychczas zaniedbanych, Rada Główna ZS Unia postanowiła na swym ostatnim zebraniu plenarnym przenieść I-ligową drużynę piłkarską, mistrza Polski na r. 1953, z Chorzowa do Piotrkowa”.

— Nareszcie robi się coś konkretnego! — wykrzyknął zapaleniec i pobiegł do redakcji. Ustyszawszy, o co idzie, sekretarz zatarł rece.

— Nie traćmy czasu! — wykrzyknął.

Kiedy pierwszy mecz? Jutro. A więc — samochód, dwóch fotografów, delegacje służbowe, benzyna i — „bądźcie gotowi do drogi”.

Cóż to będzie za „szlagier”? Co za okładka, jaki reportaż! Tytuł: „Piotrków wita mistrza Polski”. Zdjęcie: dziewięcioletni chłopcy otadzają Cieślaka, najsilniejszy z nich usurpuje sobie prawo do noszenia neseserka mistrza. Wszyscy mu zazdroszczą, szepczą: „Frank, jak pragnę zdrowia, daj trochę ponieść”. „Na, nieś!” — zgadza się łaskawie tamten. A Kosidowski — pstryk A Małek — cyk. Twarze, gesty. Podniecony tłum. Epizody małomiejskie. Szlagier!

Nazajutrz — wyjazd. Na szosie zator. Pół Warszawy wali do Piotrkowa obejrzeć mecz mistrza Polski z krakowską Gwardią, napawać się entuzjazmem piotrkowiaków, przyjrzyć się, jak „prowinca” reaguje na dobrą piłkę nożną. Zapaleniec wznosi niewinne oczęta ku górze i rozpusza jeźor:

— Bo i rzeczywiście — bo i powiedzcie — bo naprawdę: skąd taki piotrkowski chłopak ma wiedzieć, jak wygląda dobra piłka nożna? A przecież właśnie z małych miasteczek powinna rekrutować się większość piłkarzy. Tu jest przecież najwięcej terenów do kopania! Weźcie miasteczka śląskie, te różne Lipiny, Radliny, Rybniki, Świętochłowice. Grają jak szatany! Cóż to jest, ostatecznie, drużyna! Wystarczy, że dobierze się grupa morowych chłopaków i zgra się ze sobą od dzieciństwa. Wiele znaczy miejscowa tradycja. Ta tradycja każe młodzieży danej miejscowości specjalizować się w tej gałęzi sportu, a nie w innej. Skąd się to bierze, że Gniezno specjalizuje się w hokeju na trawie, Siemianowice w ping-pongu i hokeju, Leszno w żużlu, a Słupsk w boksie? Takiemu Piotrkowowi brak jakiejś wyraźnej tradycji. Unia tę tradycję mu stworzy. Uważam, że pomysł jest doskonały. Jeśli młodzież miejska może jechać na wieś na zoranie i zasiew ugorów, to czemu sportowcy nie mogliby zapelniać swoimi nitymi igrzyskami małych miasteczek? Czemu by nie mieli przynieść dobrych wzorów tej masie piłkarzy prowincjonalnych, której na imię jest MILION? Nareszcie jakaś konkretna robota!

A oto i Piotrków. Troszkę jesteśmy rozczarowani. To tak nas witacie? A gdzie sztandary, marsz sportowy, defilada, przemówienia, zakrapiane śniadanko? Bez wychowania! Trudno, jedźmy na stadion.

Tutaj — jeszcze większe zdziwienie: brama otwarta, na boisku ni żywej duszy. Tylko kilku wyrostków stoi przy budce z papierosami i patrzą na nas spode łba. Zbliżyliśmy się do nich.

— Koledzy pozwolą, jesteśmy dziennikarze z Warszawy. Chcieliśmy...

— Dziennikarze? Z Warszawy? — pyta najwyższy z dryblasów.

— W ucho go! — piszczy histerycznie któryś.

— W ucho łobuza!

— Stój! Stój — zawołałem. — My w sprawie Unii.

— Unii? W ucho! — drze się tamten.

Gwałtownym ruchem wyrwałem z kieszeni „Przegląd Sportowy”.

— Proszę, proszę!... — krzychałem, wymachując im gazetą przed oczyma. — Tutaj jest napisane! Czarno na białym!

Najwyższy z dryblasów pokiwał z politowaniem głową.

— Ech, panie! Wszystko to śmichy - chichy, czyli, jak mówi warszawski poeta, „samopoczucie dobrego żartu”. Numer jest primaaprilisowy.

Rzeczywiście, jak byk jest napisane: „Czwartek, 1 kwietnia 1954 r.”

— Pomysł jest doskonały — szepnąłem zdruzgotany.

— Należy realizować...

— Pomysł! — powtórzył tamten. — Czego oni na „primaaprilis” nie wymyślą! Żeby na codzień byli tak dowcipni, to byśmy wszystkie rekordy bili. A tymczasem my w Piotrkowie, — tu głos mu się załamał — za durniów jesteśmy, za rozczarowanych życiem, za marzycieli, za nabitych w butelkę, za naiwnych, za frajerów, za wahających się, za niedopieczonych, za... za...

Odwrociłem oczy. Nie mogłem patrzeć na łyż młodego obywatela. Szepnąłem raz jeszcze:

— Pomysł był doskonały.

I powlokłem się w stronę samochodu.

Wzorowo zabezpieczona trasa i zdyscyplinowana publiczność — tak powinny wyglądać wyścigi motocyklowe. Ściganie się na takiej trasie nie jest bardziej niebezpieczne od codziennej jazdy po mieście

CZY WYŚCIGI MOTOCYKLOWE SĄ NIEBEZPIECZNE?

P ANUJE ogólne przekonanie, że sport motorowy jest ryzykowny i niebezpieczny. A już wyścigi uliczne — to — zdaniem wielu — szczyt niebezpieczeństwa.

Jednakże, gdy spytamy jakiegokolwiek zawodnika, czy wyścigi motocyklowe są rzeczywiście tak bardzo niebezpieczne, każdy z nich odpowie, że nie, że nic podobnego. Kto ma rację? Może trzeba wybrać „złoty środek” i słuszność podzielić na połowy?

Tym razem rację mają ci, którzy nie dopatrują się w wyścigach motocyklowych większego niebezpieczeństwa od tego, które może być udziałem każdego innego sportu — narciarstwa, boksu czy też piłki nożnej.

Aby nie być gołosłownym, przytoczę kilka faktów dla podtrzymania moich twierdzeń.

Otóż, po pierwsze, wyścigi uliczne odbywają się na zamkniętej, zabezpieczonej trasie, „oczyszczonej” z ludzi i przeszkód. Nie przebywa na niej nikt poza pewną liczbą zawodników. Tymczasem podczas codziennej przejażdżki po mieście motocyklista znajduje się w „towarzystwie” wielu innych pojazdów i przechodniów — wówczas musi całą swoją uwagę koncentrować na przewidywaniu możliwości najechania na coś lub na kogoś. A jakże często sam narażony jest na najechanie lub potrącenie! Nieposzanowanie przepisów drogowych jest przecież u nas wciąż jeszcze — niestety — zjawiskiem nagminnym.

Zawodnicy w wyścigach motocyklowych na ogół doskonale panują nad maszynami. Mają także wyrobiony styl jazdy oraz zasób wiadomości, wystarczających na to, aby do minimum ogra-

niczyć możliwości wypadków. Czasem wprowadzie spotyka się na wyścigach motocyklistów, których styl — czy na skutek słabszego opanowania techniki jazdy, czy też (wypadki bardzo rzadkie) wskutek niesportowej postawy — jest niebezpieczny dla współzawodników. Ale są to wyjątki potwierdzające regułę.

Ogólnie rzecz biorąc zawodnik startujący w wyścigu wie, czego może spodziewać się na trasie, tym bardziej, że istnieje obowiązek zapoznania się z nią podczas treningu. Dzięki temu wypadki na trasach są bardzo rzadkie, mimo że rozwija się tam duża szybkość.

A dalej: przyczyną większości wypadków drogowych jest alkohol. A przecież nie zdarza się, aby zawodnik przyjechał na wyścig w stanie nietrzeźwym.

Trzecim powodem wypadków jest niesprawnie działający mechanizm pojazdu. Przypadek ten może mieć miejsce na wyścigach tylko w wyjątkowej sytuacji, gdy uszkodzenie nastąpi już podczas wyścigu. Bo przecież na uszkodzonym motocyklu zawodnik startować nie będzie, a zresztą nie dopuści go do jazdy komisja techniczna, badająca przed wyścigiem każdy motocykl.

Dlatego też, jeśli publiczność (często bardzo niesforna) zachowywać się będzie karnie i wykaże pełne zrozumienie dla znacznych szybkości rozwijanych przez motocykle wyścigowe, jeśli stosować się będzie ściśle do wskazań służby porządkowej wzdłuż całej trasy — to wtedy wyścigi uliczne staną się dużo bezpieczniejsze od codziennej jazdy po mieście.

EDWARD KOSTRZYCO

Oto rezultat bezmyślności motocyklisty — wyprzedzanie na zakręcie, które skończyło się niegroźnie tylko dzięki opanowaniu automobilisty. A mógł „pójść” obojczyk i noga, nie mówiąc o „Jawie”...



FOTO

KORESPONDENCI DONOSZĄ

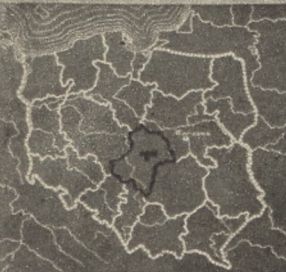
ŁÓDŹ CZEKA NA MONOGRAFIĘ

Lokal VII Rejonowej Wypożyczalni Książek w robotniczej dzielnicy Łodzi, Chojny, gdzie odbyła się dyskusja nad broszurą St. Berezowskiego pt. „Łódź i województwo łódzkie” — okazał się zbyt szczupły. Z trudem mieścić zainteresowanych.

Ta niewielka monografia „polskiego Manchesteru” i województwa łódzkiego wywołała duże zainteresowanie i stała się przedmiotem żywej i gorącej dyskusji.

Z uznaniem czytelników

STANISŁAW BEREZOWSKI



ŁÓDŹ i WOJEWÓDZTWO
ŁÓDZKIE

spotkała się przede wszystkim z częścią geograficzno-gospodarczą broszury. Zarzucali oni natomiast autorowi, iż nie wspominał o sztuce ludowej tego województwa (Łowicz i Rawa) ani o najciekawszych zabytkach architektonicznych, jak np. tum w Łęczycy, kościół w Inowłodzu czy zamek w Poddębicach i Piotrkowie; że zapominał o istnieniu muzeów w Sieradzu, Pabianicach i Tomaszowie i pominął milczeniem rozwój życia kulturalnego przemysłowej Łodzi.

Rzeczowa ocena publikacji, liczne żądania uczestników dyskusji wskazywały, iż niewielka, popularno-naukowa broszura Berezowskiego jest niewystarczająca i że potrzebne jest opracowanie obszernej monografii Łodzi i województwa łódzkiego. Zebrani wysunęli nawet projekt wydania dwóch poważnych publikacji: jednej — poświęconej wyłącznie miastu, drugiej — województwu.

Krytyka, uwagi i żądania czytelników, wyrażone w czasie tej pożytecznej dyskusji, dały wiele cennego materiału zarówno wydawnictwu „Wiedza Powszechna”, jak i autorom opracowującym tego rodzaju publikacje.

Antoni Wojciechowski, Łódź

— MIASTECZKO STUDENTÓW W STALINOGRODZIE —

Na przedmieściu Stalinogrodu, Ligocie, wśród lasów, z dala od wielkomiejskiego hałasu i dymów kopalni, powstaje osiedle akademickie, w którym studenci wyższych uczelni Śląska znajdą doskonałe warunki do nauki i odpoczynku. Dzielnica ta obliczona jest na 15 tys. mieszkańców.

W ubiegłym roku wybudowano i oddano do użytku młodzieży pierwszy blok tego osiedla. W tym roku wy-

kończonych będzie następnych 1000 izb mieszkalnych.

Będzie to prawdziwe miasteczko studenckie z własnym Domem Kultury, boiskami i innymi obiektami sportowymi. Liczne sklepy i wielki Dom Towarowy zaopatrzą mieszkańców osiedla w żywność, odzież, podręczniki i pomoce naukowe, jednym słowem — we wszystkie niezbędne artykuły codziennego użytku.

Tadeusz Rzepkiewicz, Stalinogród



W strzelaniu do celu na trasie marszu LZS-ówki miały piękne wyniki

FILM POMOŻE W SZKOLENIU

Śląsk jest fotogeniczny. Dostarcza wielu tematów filmowcom, którzy często goszczą w naszym województwie. Obecnie w Stalinogrodzie przebywa ekipa pracowników Wytwórni Filmów Oświatowych z Łodzi, która nakręca film instruktażowy dla hutników.

Filmy instruktażowe pokazują różne procesy produkcyjne i technologiczne, sposób działania maszyn, zapoznają z nowymi metodami pracy przodujących robotników.

Tym razem na taśmie filmowej utrwalony zostanie proces walcowania stali na gorąco. Film ten pokaże metody pracy przodowników z Huty „Kościszka” oraz najlepszych brygad: Katnera, Misz-

W Jabłonce, w pobliżu Baligrodu, miejscu bohaterskiej śmierci gen. Karola Świerczewskiego, odbył się w ostatnich dniach marca marsz patrolowy pod hasłem „Młodzież ostatnim szlakiem bohatera-rewolucjonisty”. W marszu tym na trasie Rzeszów-Jabłonka startowało 38 patroli męskich i 1 żeński.

Na całej trasie, długości 161 km, toczyła się zawzięta walka między patrolami Gwardii I a centralnym patrolami Ludowych Zespołów Sportowych. Zawodnicy obu tych drużyn szli doskonale, a jednocześnie mieli dobre wyniki w strzelaniu, rzucaniu granatami do celu, obserwowaniu terenu i pokonywaniu licznych przeszkód.

Po drugim etapie Strzyżów-Krosno sportowcom większym udało się wysunąć na pierwsze miejsce i założyć czerw-

ne koszulki przodowników. Na dalszych etapach jednak zawodnicy Gwardii (doświadczeni żołnierze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego) wyprzedzili LZS-owców.

W ostatecznym rezultacie w marszu zwyciężył patrol Gwardii I (152 punkty karne) przed patrolami centralnymi LZS (181 punktów karnych) i Gwardią Wojewódzką (132 punkty karne).

Szczególnie gorące oklaski licznie zgromadzonej na całej trasie publiczności zbierał

startujący poza konkursem — patrol żeński LZS.

Dzielne dziewczęta maszerowały wspaniale i nawiązały równorzędną walkę z mężczyznami. Dość powiedzieć, że na drugim etapie uzyskały najmniejszą ilość punktów karnych ze wszystkich patroli. W ostatecznej punktacji uplasowały się na szóstym miejscu — co ocenić należy jako wielki sukces.

Tomasz Czaubański, W-wa
Fot. Feliks Tra-



Żeńska drużyna LZS zajęła w ogólnej klasyfikacji 6 miejsce

— 2 TYS. PACJENTÓW W CIĄGU 4 LAT —

Wieś Radków, w zakątku powiatu kłodzkiego, oddalona od magistrali komunikacyjnej, stynie z wzorowo prowadzonej izby porodowej.

W ciągu 4 lat istnienia izby — jak informuje nas położna Janina Wróblewska — od 2 tysięcy pacjentek, które urodziły zdrowe dzieci, nie wpłynęła ani jedna skarga, ani jedno zażalenie.

Wzorowa izba porodowa w Radkowie mieści 48 łóżek,

jest wyposażona we wszystkie potrzebne urządzenia ginekologiczne i medykamenty. Zofia Milkosz, członkini spółdzielni produkcyjnej, przed paru dniami urodziła syna i twierdzi, że personel izby cechuje nie tylko troskliwość, ale i wielka serdeczność w stosunku do pacjentek, które przeciwko niej niejednokrotnie są nerwowe i niecierpliwe.

Zb. Lenartowicz, Łądek Zdrój



Pierwsz mieszkający akademickiego miasteczka

DZIELNE KOLPORTERKI



Długą drogę przechodzi gazeta, zanim z drukarni znajdzie się w kioskach. Drogę tę odbywa ona dzięki kolporterkom — pracowniczkom PPK „Ruch”, które nieraz widzimy na ulicach miast rozwożące prasę samochodami „Skoda”.

W Delegaturze PPK „Ruch” Warszawa — Śródmieście do najlepszych pracownic należą: Władysława Partes, Barbara Maciejak i Janina Domańska.

Warszawa jest jeszcze pogrążona w głębokim śnie, gdy one stoją już przy maszynach w drukarni i oczekują na świeże numery gazet. Im to zawdzięczamy również, że jadąc do pracy, wczesnym rankiem, możemy kupić dziśszą gazetę.

Józef Paczyński, Warszawa

Na zdjęciach obok: Barbara Maciejak, Władysława Partes i Janina Domańska przy pracy

LEŚNE SANATORIUM

W sulecińskich borach, opodal Torzymia, w woj. zielonogórskim, znajduje się sanatorium przeciwgruźlicze. Sanatorium to należy do najlepiej wyposażonych w sprzęt zabiegowy w całym kraju.

Dwa oddziały: męski i kobiecy zapewnia w każdym 3-miesięcznym turnusie przeszło stu pacjentów. Opleka, jaką otoczeni są chorzy, sprawia, że czują się tu raczej jak w domu wczasowym niż w sanatorium o surowej dyscyplinie lekarskiej.

Częste odwiedziny zespo-

tów estradowych „Artosu”, występy amatorskiego teatru pracowników sanatoryjnych i inne imprezy rozrywkowe uprzejmniają pacjentom czas pobytu.

Zadowoleni kuracjusze nazywają zielonogórskie sanatorium „leśnym”, gdyż znaczną część dnia spędzają na zdrowotnych spacerach po rozległym parku i pięknych świątkowo-jodłowych lasach.

M. Turski, Zielona Góra
Zdjęcia: Lucyna Orkusz



Estrada w lesie



Saloni dla pacjentów

FOTOGRAFIA NA CODZIEN REPRODUKCJE

Reprodukcja tekstów, dokumentów, rysunków i obrazów, stanowiąca dziś coraz większą popularność również wśród amatorów. Czemu różni się reprodukcje od zwykłego zdjęcia? — W reprodukcji mamy do czynienia z obrazami płaskimi, dwuwymiarowymi, zazwyczaj niewielkich rozmiarów. Te dwa zasadnicze czynniki dyktują specjalne wymogi przy wykonywaniu zdjęć.

Ponieważ nie potrzebujemy troszczyć się o wydobycie plastyczności, praca nasza jest łatwiejsza, gdyż wystarczy nam każdy rodzaj oświetlenia pod warunkiem, by było ono całkowiście równomierne. Możemy fotografować ilustracje czy dokumenty przy świetle dziennym i sztucznym, przestrzegając ściśle zasady równomiernego rozłożenia światła na całą płaszczyznę reproduktowanego oryginału. Wykonując zdjęcie w pobliżu okna, należy posługiwać się ekranem odbijającym światło. Przy oświetleniu sztucznym najwygodniej posłużyć się dwiema lampami biurowymi, ustawionymi w jednakowej odległości od obrazu, pod kątem 45 stopni. Stosując zarówno tej samej jasności, np. 60 lub 100 watt, po jednorazowych próbach ustalimy na przyszłość wymagany czas naświetlenia.

Musimy ściśle przestrzegać dokładnego ustawienia aparatu, tak, aby płaszczyzna negatywu była ściśle równoległa do płaszczyzny reproduktowanego oryginału. W przeciwnym razie otrzymamy zniekształcenie rysunku w postaci skrótów i zbiegu linii równoległych. Oś optyczna obiektywu musi prostopadle przecinać środek płaszczyzny reproduktowanego oryginału.

Najwygodniej jest wykonywać reprodukcje aparatem wyposażonym w matówkę, na której możemy dokładnie ustawić pożądaną formę i ostrość reproduktowanego oryginału. Podwójny wyciąg skórzanego mieszka pozwoli nam na wykonanie reprodukcji w skali 1:1, czyli w wielkości naturalnej, w wypadku fotografowania oryginału o rozmiarach mniejszych od negatywu.

Sprawa komplikuje się nieco przy aparatach nie posiadających podwójnego wyciągu obiektywu, a więc przy wszystkich niemal aparatach małoobrazkowych, tak popularnych wśród amatorów. Można oczywiście fotografować oryginał niewielkich nawet rozmiarów z odległości 1 m, lecz ograniczona zdolność rozdzielcza obiektywu i emulsji nie pozwoli nam na uzyskanie dostatecznie ostrego powiększenia. Przy tego typu aparatach radzimy sobie stosowaniem soczewek nasadkowych i pierścieni pośrednich, trudność nam jednak sprawi dokładne ustawienie aparatu w położeniu ściśle równoległym do płaszczyzny oryginału i ściśle w milimetrach odmierzonych odległości. Trudności tych nie mają posiadacze lustrzanek jednoobiektywowych pozwalających na dokładne ustawienie tak ostrości, jak i odległości fotografowanego oryginału.

Wkrótce napiszemy o zasadach stosowania soczewek reprodukcyjnych do aparatów małoobrazkowych.

DZIESIEĆ OPOWIADAŃ LIRYCZNYCH

CHOPIN



MŁOŚĆ, o ile jest prawdziwa, niesie ze sobą czasem nie tylko krótkie dni — prawdziwego szczęścia, ale i długie godziny prawdziwego cierpienia. Tego dnia wyszli z uniwersytetu razem. Dzień był listopadowy i mgła osiadała kroplami na bezlistnych drzewach. Szli pod rękę blisko przytuleni, choć innym ludziom (w tym miejscu, gdzie chodnik Nowego Świata jest wąski) niezbyt to się podobalo. Czekali ich piękny wieczór: oboje, po wielu własnych chytrych próbach i złośliwych uśmiechach kolegów, dostali wejściówki na drugi finałowy koncert Konkursu Chopinowskiego. Szczególnie ona była pełna radości, czułości i drobnych, ale jakże bliskich sercu, wzruszeń. Mówiła dużo swym szybkim, trochę łamiącym się głosem o koncercie, muzyce i o nich obojgu. Gdy przystanęli na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata, przechylając się zajązła mu prosto w twarz:

— Tak! Jesteś ładny — powiedziała trochę za głośno i ktoś się za nimi roześmiał.

Spróbował więc raz jeszcze poruszyć ów temat. Była w tej chwili tak bliska, że powinna wreszcie zrozumieć całą wagę i prawdę jego słów.

Początkowo oganiała się od nich ze śmiechem, jak od odbicia słońca w lusterku, kierowanym złośliwą ręką. Był jednak uparty, poważny, a nawet coraz surowszy. Szybko więc spochmurniała. W końcu po długiej chwili zaciętego i złego już milczenia wróciła do starych argumentów. Wsunęła rękę spod jego ramienia, mówiła patrząc tylko przed siebie.

WYPRACOWANIE



BABOWICZ stanął przy tablicy i przez chwilę, w zamysleniu przecierał okulary ręką. Szeroka postać zawsze wyglądała z tyłu szczególnie zabawnie, tym jednak razem nikt się nawet nie uśmiechnął. W klasie było tak cicho, że bzyczenie muchy, opętanej ciepłem słonca na szybie, każdemu brzmiało i grzmiało tuż koło ucha. „Baba” bowiem obmyślał temat.

W końcu wspinając się na palce zaczął pisać pięknymi, krągłymi literami, pamiętającymi jeszcze lekcje kaligrafii:

„Wypracowanie szkolne, 17.III.1950.

Jak rozumiem pojęcie miłości ojczyzny?”

Przez klasę przeleciało głębokie westchnienie. Ktoś złośliwie kichnął. Chłopcy patrzyli na siebie z oburzeniem, gniewem i beznadziejnością lub ironicznym grymasem: wymyślił! Wakula obracając się do klasy narysował kółko na czole — szmer śmiechu zagłuszył szmery protestu.

„Baba” chwilę jeszcze przyglądał się wypisanemu na tablicy zdaniu, przechylając głowę na ramię i pocierając kark. Wreszcie obrócił się, spojrzawszy znad okularów i natychmiast wróciła cisza. Kiedy w ten sposób patrzył, nie należało z nim bawić się w chowanego. Wzajemna znajomość trwała już od trzech lat.

Mimo to Nabidowicz — pierwszy w pilce, ostatni u „Baby” — nie umiał opanować swej beznadziejnej rozpacz: ani odwalić, ani wymyślić...

— Jak to pisać? — stęknął.

Babowicz oczywiście dosłyszał.

— Co proszę, Nabidowicz? Co proszę? — spytał swym skrzypiącym głosem.



— Na sam widok tłustego, chce mi się jechać... — zaczęła ze łzami w oczach i stojąc w progu wygarnęła całą swoją skargę.

— Słuchaj spokojnie. Nie przerwał ani razu. Poważnie patrzył na grubą kromkę chleba, z której nożem odkrawał mniejsze, łatwiejsze do zżucia kawałki. Dopiero gdy skończyła, spojrzawszy jej prosto w oczy. Ojcowski wzrok zawsze onieśmielał. Bardzo bystre było to spojrzenie, choć na pozór mogło się wydawać, że niewielkie, wyblakłe, niebieskie oczy ojca są po kobiecemu łagodne. Niepewnie splótła dłonie czekając na jego słowa. Ojciec jednak wzruszył ramionami.

— Z taką sprawą lepiej poczekać na matkę — powiedział. — Ja jeszcze nawet gazety nie czytałem...

Usiadł koło radia i zasłonił się gazetą. Nic mu nie przeszkadzała wieczorna pogadanka dla wsi. Ktoś tam opowiadał o tym, jak najlepiej konserwować paszę dla bydła.

Paulinkę ogarnął głęboki żal do ojca za tę oschłą, milczącą obojętność. Stała przy oknie, by nie dojrzał jej łez, ale mimo to i tak musiała pociągać nosem. Widziała w ciemnej szybie swoją ładną mimo płaczu twarz,

OJCIEC dopiero co wrócił z fabryki. Otworzył Paulince drzwi prosto od miednicy i kazał chwilę poczekać w pokoju. Oczywiście — jak zawsze, kiedy ojciec był w domu — radio grało, tym razem muzykę poważną, bo szumiała w głośniku wielką masą orkiestry i szeroką melodią.

— Chcesz chleba z boczkiem? — krzyknął ojciec. To wystarczyło, żeby zbuzzyć jej spokój. Pobiegła do kuchni.

rys delikatne i jeszcze nawet dziewczęce, piękne brwi, wygięte wargi, włosy ciemnozłote i faliste. Nie obeszła jej jednak własna uroda. Żal rósł coraz szerzej i boleśniej, nie można go było w sobie zdusić ani uciszyć.

Toteż gdy tylko weszła matka, Paulinka rozszołchała się w głos.

— Ja tego nie chcę... nie chcę... — powtarzała.

Ojciec niewiele się wzruszył, ale matka aż pobladła, zatrzepotała rękami. W chwilę ciszy wpadł głos spikera:

— „W drugim dniu Kongresu Intelktualistów we Wrocławiu...”

— Zamknij radio! — krzyknęła matka tak ostro, że choć ojciec wyraźnie się obraził i rozszłościł, głos umilkł natychmiast.

— Nie płacz! Co się stało? Nie płacz — mówiła matka szybkim, zdyszczanym głosem odciągając dłonie Paulinki zaciśnięte przy twarzy. Uspokoiła ją w końcu. Głos Paulinki załamywał się jednak co chwila w głębokich, beznadziejnych jak resztki dziecięcego płaczu westchnieniach.

— Nie chcę... — mówiła. — Umawialiśmy się z Józkiem, że jeszcze nie teraz. To znaczy... ja prosiłam, a on się przecież zgodził. Tymczasem...

— Co? — spytała głębokim głosem matka. Ojciec coś mruknął do siebie.

— Co? Dziecko! — Paulinka najzwyczajniej się rozszłościła — Myślałam, że to tylko niepotrzebne strachy. Ale już wiem na pewno... jeść nie mogę, spać nie mogę. Serce tłucze się, jakby chciało rozwalic piersi.

Matka siedziała całkiem spokojnie, wyprostowana, ze złożonymi na brzuchu rękami. Słuchała z wielką uwagą, przechyliła nawet głowę na ramię, tak właśnie, jakby ojciec czytał jej teraz najważniejsze wiadomości z gazety. W końcu nawet grzecznie się uśmiechnęła:

— Dlaczego nie chcesz? — spytała łagodnie i czule.

— Jak to dlaczego? — mówiła Paulinka. — W ogóle jeszcze życia nie zaznałam! Ledwo co skończyła się wojna, ledwo trochę odetchnęłam... Ja mam dwadzieścia lat!

wszystkich zaś wejściach stali ludzie, na sali gęsto, pod ścianami tłumy, nawet na półpiętrach, skąd przez niższe położone łóżka widać było skrawek estrady, cisnęli się milczący, zamysleni, zadumani w głosach muzyki słuchacze.

Nigdy w życiu nie wierzył muzyce, więc nie zwracając uwagi na oburzone spojrzenia słuchaczy, na niecierpliwe syknięcia szatniarek i bileterów przechylających głowy ku otwartym wejściom na salę, włożył się po korytarzach, piętrach i półpiętrach, szukał, wspinał się na palce, by za ludzkimi plecami wychylić w obrazie zapełnionej sali znajomy błysk włosów i kochaną twarz.

Była to nadzieja głupia i starania niepoważne. Zrozumiał ową prawdę, gdy w przerwie koncertu przysła dyscyplina skupienia i wszędzie nagle stało się tak tłumnie, jakby wbrew rozumowi wpuszczono tu setki nowych ludzi.

Sala nadal była pełna po brzegi — tak jak łóżka, balkony, piętra i półpiętra — a wszystkie korytarze, westibule i foyer wypełnił tłum gęsty, gwar i światła radości.

Mimo to szukał nadal. Szukał jeszcze wtedy, gdy korytarze i westibule znowu wydłubli się, a szatniarki znów przechyliły głowy ku głosom smyczków prowadzących temat introdukcji.

Na koniec jednak zrezygnował. Ogarnęło go wielkie, pełne gorczy zmęczenie. Przystanął za ludzkimi plecami na półpiętrze i przymykając oczy oparł się o ścianę. W tej chwili jednak dwoje starszych państwa wycofywało się z tłoku. Wzłązła się więc w przejście, znów zepchnięto go pod ścianę, ktoś głęboko westchnął.

Nie widział sali — balkony przesłoniłi mu sąsiedzi z prawej strony — tylko w dole, w ostrym, skośnym skrócie otworzył mu się po raz pierwszy w życiu widok na estradę, na lśniące, uniesione do lotu skrzydło fortepianu, na rozkołysaną falą smyczków i skrzypiec, na drobne sylwetki pianisty i dyrygenta.

W tej chwili właśnie dyrygent ostrym gestem zdjął wszystkie smyczki ze strun, pianista opuścił na moment dłonie i nastąpiła krucha, drobna sekunda ciszy.

Póki nie ukończy studiów, o tym mówiła, na małżeństwo za wcześnie. Wspólnego życia nie powinno się, podług niej, zaczynać na cienkim studenckim chlebie, bo razem z chlebem gorzknie i życie. Ona chce iść do ślubu z dwoma dyplomami, z gwarancją dobrej przyszłości, wygodnych dni i spokojnych nocy.

Szła wzdłuż żelaznych sztachet parku Ujazdowskiego i każdy krok mierzony jej słowami, choć szli obok siebie, oddalał go od niej. A że nie umiał cierpieć bez gniewu uchwycił ją w końcu za łokieć i powiedział przez ściśnięte zęby:

— Znowu wylazł z ciebie wasza mała duszyczka... mała mieszczkańska duszyczka! Z gwarancjami na przyszłość! Gdzie ty zjesz?

Zmarszczyła czoło jak w nagłym bólu. Chciała coś odpowiedzieć. Ale po prostu, bez słowa, wyrwała mu rękę i pobiegła przez jezdnię w stronę przystanku przy którym właśnie zatrzymał się autobus. Zaczął ją gonić o kilka sekund za późno. Autobus ruszył, dla niego na stopniu zabrakło już miejsca — ptak by się może zmieścił, człowiek nie. Za ramionami dwóch wysokich chłopców dojrzał tylko jasny połysk jej włosów. Biegł kilkanaście kroków, wołając:

— Jadzia! Jadzia!

Jeden z chłopców z szyderczym śmiechem odwrócił głowę: — Kupuj pan Jawę! Inaczej tylko we śnie nas dogoniysz!

W sekundę później cudem uskoczył przed wyjeżdżającą zza rogu taksówką. Szofer zatrzymał wóz i kłął przez długą chwilę — miał czerwono-siną od wiatru twarz i wesołe oczka.

Mgła zmieniła się w deszcz. Stefan zawrócił w swoją stronę. Wieczorem czekał na nią przed wejściem do Filharmonii. Tłum jednak był zbyt gęsty, rozgrzewany i niespokojny, wieczór zaś zbyt mroczny i wietrzny, by nie stracić nadziei. Mimo to czekał, szukał, przepychał się i przepraszał, aż do tego momentu, kiedy przed wejściem zrobiło się pusto, kiedy nawet widoczny przez szklane drzwi westibul opustoszał. Odstawiał zaś płaszcz do szatni już wtedy, kiedy na korytarzu słychać było wchodzący po introdukcji orkiestry pierwszy temat fortepianu.

Jak ją odnaleźć? Mieni bilety bez oznaczonych miejsc. We

Nabidowicz wstał, zmarszczył czoło tak, że włosy weszły mu niemal na brwi. Chciał coś odpowiedzieć, ale zdziałał tyle, że udało mu się w końcu przestąpić z nogi na nogę.

„Baba” wbrew oczekiwaniu uśmiechnął się łagodnie. Rozzejrzał się po klasie i widocznie w zbyt wielu twarzach dojrzał niepokój, oburzenie czy beznadziejność, by po prostu zająć się Nabidowiczem.

— Siadaj, synku — powiedział.

Potem spojrzawszy na tablicę, znowu przetarł okulary. Jego oczy bez szkielec były małe i miłe.

— No cóż, moi drodzy... — powiedział. — Nie przewidziane w programie, co? Otóż zwracam wam uwagę, że powoli, powoli kończymy pierwsze półwiecze naszego, moi drodzy, stulecia. Zwracam uwagę, że czas zastanowić się nad... pewnymi sprawami.

Włożył okulary, znowu się uśmiechnął, tylko że nie wiadomo jak.

— Co proszę? — rzekł. — Bierście przykład: Prylewicz już pisze.

Pióra stuknęły o dna kałamarzy, profesor otworzył jakiś zeszyt. Prylewicz zaś kończył pierwszą stronę.

Siedzący obok Prylewicza Piątek dopiero kończył przepisywanie tematu. Czynił to niezwykle wolno — w przerwach między poszczególnymi słowami patrzył na „Babę”; wprawdzie ze zdumieniem, potem ze złością, potem z niepokojem. Znak pytania po temacie wymodelował z niezwyklej starannością i w głębokim zamysleniu. Dopiero gdy Babowicz dał klasie wzór: Prylewicza — Piątek spojrzawszy na sąsiada, kończącego pierwszą stronę.

— Piszesz? — spytał.

— Oczywiście.

— No to pisz — mruknął Piątek i odłożył pióro.

Przesłonił twarz rękami. Gdyby „Baba” podyktował coś na przykład o walce „Kuznicy” z feodalizmem albo inny równie rozsądny temat, Piątek też kończyłby już pierwszą stronę i rywalizacja Piątka z Prylewiczem, której „Baba” przyglądała się tak pobłażliwie a dyskretnie, płynęłaby ludzkim normalnym tokiem.

Teraz jednak Prylewicz jest w połowie drugiej stroficy, kładzie literki w prawo i ozdobnie wieńczy każde „i” — Piątek zaś nachyla się nad pustą kartką i czyta — po raz który?

„Jak rozumiem pojęcie miłości ojczyzny?”

Miłość ojczyzny. To oznacza — myśli Piątek — miłość do ojczyzny. Ta-a-ak. Jak ją rozumiem?

Babowicz zakpił: „To nie jest w programie... ale czas się, moi drodzy, zastanowić”. Mógł jeszcze sprawić sobie dodatkową przyjemność i powtórzyć, że nie ma literatury bez stalówki, stalówki bez obsadki, obsadki bez ręki, ręki bez człowieka i tak dalej i tak dalej aż do samodzielnego myślenia bez prawdziwych uczuć.

W pewnej chwili Piątek łapie triumfalne i pogardliwe spojrzenie Prylewicza — nie gniewa ono go jednak, nawet nie zajmuje.

Gdzie jej szukać, żeby napisać coś o tym pojęciu?

W marcu Warszawa jest zimna, wietrzna, błotna. Tramwaje obwieszone ludźmi. Ojciec wraca zmęczony — wścieka go bałagan na oddziale, gonitwa za planem: „A sekretarz gładki, ani od brzytwy, ani od pilnika”. Matka co niedzieli, jak osa: „Nie wypoczniesz! Co go pędzi między chłopskie chałupy? Proboszcz i tak od niego silniejszy...”

Taksówka czasem chlapnie aż za kołnierz.

Czasem w południe, kiedy słońce przygrzeje przedwiosennym ciepłem, można pójść z Janką Wybrzeżem Kościuszkowskim na Rynek Mariensztacki. Wraca potem przez Nowy Świat i prawie zawsze przypomina się rozstrzelany z listy Staszek.

Kiedy przyszli do Warszawy, od razu, jeszcze przy mrozach, spał między ojcem i matką, a przez spary w deskach, którymi było zabite okno, śnił co noc nawiewało do środka.

Najładniejszy od wewnątrz ze wszystkich teatrów jest Teatr Polski...

Piątek trąca Prylewicza:

— Ile jeszcze do końca?

— Dwadzieścia cztery minuty.

Tyle tego dobrego, co Józek mi teraz daje. Kiedy od was wychodziłam, jeszcze tu radia, ani fotela, ani książki nie było. Na dwadzieścia lat życia, pół roku radości, to dużo?

— Nie — powiedziała matka wstając. — Niedużo! Paulinka znów spotkała uważny wzrok ojca, więc umilkła.

— Chcecie herbaty? — spytała matka i nie czekając odpowiedzi ruszyła do kuchni.

Ale właśnie w samym progu odwróciła się nagle, jej starą twarz gniew postarzał jeszcze bardziej, tylko oczy nabrały zimnego blasku.

— Antek — powiedziała do ojca — Antek, ona ma dwadzieścia lat. Ja chcę... niech się ona dowie, co zrobiłaś, kiedy ci powiedziałam, że ją noszę. Pamiętasz?

Ojciec podniósł ku niej nagłym ruchem głowę.

— Pamiętasz? — pytała matka.

Odłożył gazetę i spojrzał na Paulinkę. Zatrzymał wzrok na jej oczach.

Mówił:

— Jak mi matka o tobie powiedziała, napróżd się schlałem jak bydlę. A potem zbiłem matkę, że dwa dni leżała. Możesz jej spytać.

Tu wstał.

— Co tak patrzysz? Nie wiesz, że dziesiąty miesiąc żyliśmy na zasilku i głodnej zupie? Nie wiesz, żeś była piątą? To się dowiedz!

Twarz mu podbiegła krwią. Machnął ręką, otworzył radio: znowu była muzyka. On wrócił do gazety, a matka wyszła.

Dopiero przy herbacie Paulinka powiedziała niepewnym głosem:

— Nigdy nie mówiliście...

Matka lekko się uśmiechnęła, ale słowa ojca jeszcze miały w sobie niewygasły żar gniewu:

— Dziecku tego się nie mówi. Chyba — zastanowił się — dodał już łagodniej — chyba, żeby... matce.

Zamknął ją głęboki dźwięk fortepianu, po którym wzniosły się lekko i ku górze, ku ptasiej tonacji, inne.

Stefan usłyszał je tuż koło siebie. Usłyszał, jak przeszły w melodię — usłyszał w tej chwili muzykę.

A więc taka jest muzyka?

Nie przetłumaczysz jej na słowa, bo są uczucia, które słowem się wymykają, które przekraczają słowa o całą siłę wzruszeń. Wiedza o tym nawet poeci.

Oto melodia zbliża się i oddala. Wiemy, że nie da się jej zamknąć w słowach. A jednak w tych przyptywach i odpływach, wzrostach i schizzeniach ujawnia się wszystko, czego tak bardzo tobie brak. Dźwięki są ciepłe i łagodne — wymowne jak oczy miłości. Czasem ich bieg załamuje chwila tęsknoty. Mimo to w nowym przyptywie musisz znowu i coraz głębiej ufać owej miłości, musisz wierzyć w jej siłę i pełnię, musisz ufać, że losy twojej nadziei dopełni szczęście...

W pewnej chwili Stefan poczuł na ramieniu czyjaś dłoń. Obejrzał się niechętnie. Drgnął — ale zrozumiał, że właściwie wobec owej muzyki nie było w tym nic dziwnego.

Po prostu tuż za nim, o stopień wyżej, również oparta o ścianę stała Jadzia. Otworzył usta, jakby chciał coś szepnąć na widok jej oczu rozjaśnionych łzami. Szybko położyła palec na wargach, więc znów zwrócił głowę ku estradzie.

Pianista grał ostatnią część z niezwykłą, porywczą radością, w bujnym jak taniec rytmie. A jeśli nawet zastanowił się na moment, pochylał głowę, uciszył orkiestrę sekundą wahania — to radość wracała tak szeroką i wysoką falą, że twarze ludzkie błyskały blaskiem muzyki jak błyskały w słońcu okna naszych domów.

Brawa wybuchły nieczym powitalny okrzyk.

Teraz odwrócił się.

Przechyliła ku niemu głowę szepcząc jakieś słowa.

— Co? — krzyknął radośnie — nie słyszę!

— Dobrze! — wołała. — Dobrze! Mój najdroższy!

Ale właśnie wtedy oklaski nieco ścięły i stojący obok ludzie zwrócili ku nim głowy ze śmiechem.

— Co?!

— Tak, tak.

Babowicz podnosi głowę, więc milkną. Piątek znowu macza pióro w kałamarzu. Mijają jeszcze długie minuty, zanim zaczyna pierwsze zdanie:

„Miłość do ojczyzny jest trudna (przekreślone: trudna) trudnym pojęciem. Żeby zrozumieć to pojęcie, trzeba pomyśleć (przekreślone: pomyśleć) wiedzieć, jak (znów przekreślone) rozumieć, jak upływało własne życie. Życie każdego obywatela jest albowiem związane z Ojczyzną, dlatego to życie pozwala zrozumieć pojęcie...”

Minęło niewiele minut — i dzwonek!

Babowicz na prośby niemal połowy klasy zgodził się doczekać do końca pauzy.

Piątek jednak nawet nie próbował ciągnąć dalej. Nie mógł spojrzeć Babowiczowi w oczy. Należałoby to wszystko skreślić, raz jeszcze przypomnieć sobie o czyni tylko można i pewnie — znowu skreślić...

Dokończył zdania, zamknął zeszyt.

Prylewicz, który uczynił to jeszcze przed dzwonkiem, zastrzygł czujnie uszami (sławna umiejętność weszła mu już w krew).

— Tylko dwie i pół stroniczki? — pytał. — Natchnienia zabrakło?

— Pokaż swoje — powiedział Piątek.

— Jeśli łaska... prosim bardzo.

„Wypracowanie itd. itd...”

„Miłość ojczyzny, zwana także pięknie patriotyzmem, jest uczuciem wzniosłym i szlachetnym. W państwie budującym socjalizm wzbogacona jest ona uczuciem internacjonalizmu, który...”

Ósmą i dziewiątą stronę Piątek tylko przerzucił, bo Babowicz zbierał już zeszyty. Ostatnie zdanie brzmiało tak: „I dlatego uważam pojęcie miłości ojczyzny za swój najświętszy obowiązek, do ostatniej kropli krwi”.

Prylewicz uśmiechnął się wyczekiwym, łaskoczącym serce zadowoleniem, gdy wreszcie sam Piątek przyznał:

— Jabym tak, bracie, nie potrafił.

SWIAT

o tym wie!

TE SAME TRADYCJE

Zachodnio - niemiecki minister wojny Theodor Blank (z lewej) i zbrodniarz wojenny feldmarszałek von Manstein (skazany przez sąd brytyjski na 18 lat więzienia i zwolniony „z powodu złego stanu zdrowia”) siedzieli tuż obok siebie na zjeździe



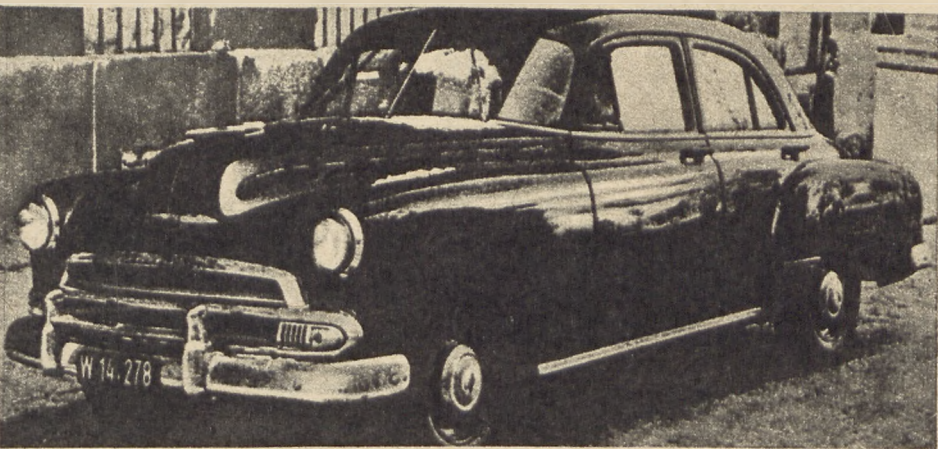
Związku byłych Żołnierzy Niemieckich w Bonn.

Dwustu b. oficerów i żołnierzy hitlerowskiego Wehrmachtu uczestniczyło w tej wielkiej demonstracji odwetowej, urządzonej pod patronatem rządu bońskiego. Wiwatowano na cześć „armii europejskiej”, co nie przeszkadzało delegatom śpiewać bojowych hymnów hitlerowskich: „Wir fahren gegen England” (Płyniemy przeciw Anglii) i „Siegreich wollen wir Frankreich schlagen” (Zwycięsko pokonamy Francję).

Wygłoszono też szereg przemówień na cześć hitlerowskich zbrodniarzy wojennych. Dr Herman Ehlers, przewodniczący parlamentu bońskiego i b. oficer Wehrmachtu kajeńskiego i hitlerowskiego, żądał natychmiastowej rehabilitacji wszystkich skazanych zbrodniarzy wojennych, a minister rządu bońskiego, Strauss, zapowiedział, że „nowa armia niemiecka będzie kontynuowała tradycje dawnego Wehrmachtu” i że „żołnierza niemieckiego czekają te same zadania i obowiązki, co dawniej...”

...Co nigdy nie nasuwało nam żadnych wątpliwości i zawsze twierdził, że nowy Wehrmacht będzie uprawiał taki sam bandytyzm jak stary.

CIC W KOŚCIELE



W centrali austriackiej policji od dłuższego już czasu gromadziły się akta oznaczone numerem „W 14.278”. Jak wynikało z meldunków, w ciągu ostatnich miesięcy niezłannie sprawcy dopuścili się szeregu przestępstw natury szpiegowskiej, przy czym posługiwali się elegancką limuzyną marki Chevrolet, oznaczoną wiedeńskim numerem W 14/278. Mimo usilnych poszukiwań, sprawców nie udało się jednak ująć.

I oto nagle, wieczorem 20 stycznia roku 1954, policja wiedeńska spostrzegła wreszcie tajemniczy samochód, stojący spokojnie na ulicy. W braku czegoś lepszego — do aresztu odprowadzono... a-uto. Następnego dnia jednak do komendy policji

zgłosili się przedstawiciele CIC (amerykańskiego wywiadu) przedstawiając papiery wozu wystawione na nazwisko Hans Weninger, Wiedeń XIX, Grinzingerstrasse 80. Ponieważ papiery były w najlepszym porządku — samochód został wydany. Dopiero później policja wpadła na pomysł sprawdzenia adresu Herr Weninger. I wtedy dopiero okazało się, że pod wskazanym adresem znajduje się... kościół św. Michała.

Gdy wiadomość ta dotarła do wiadomości publicznej, policja usiłowała zatuszować całą aferę. Czyż można bowiem gniewać się na swych amerykańskich szefów? Nawet jeśli podają, że mieszkają w kościele?

WRÓG AMERYKI

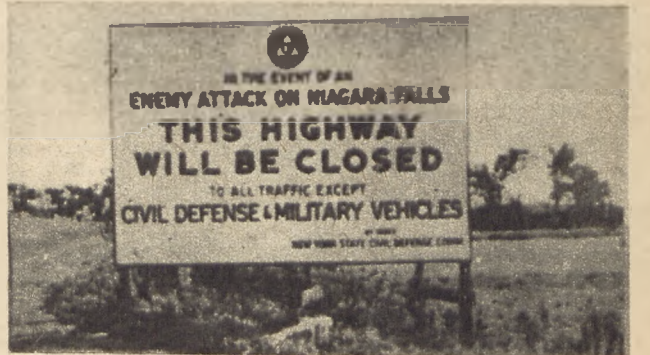


Jest nim francuski aktor Maurice Chevalier, któremu władze amerykańskie ponownie odmówiły wydania wizy wjazdowej. Jak oświadczył bowiem Departament Stanu, „wizyta pana Chevaliera byłaby sprzeczna z najlepszymi interesami Stanów Zjednoczonych”.

Chevalier miał udać się do Hollywood, aby wziąć udział w premierze filmu poświęconego jego życiu. Przypomnieć należy, że władze amerykańskie odmówiły już raz w r. 1951 wystawienia wizy Chevalierowi motywując to podpisaniem przez niego Apelu Sztokholmskiego.

MARZENIA

O czym marzą amerykańscy szaleńcy? Odpowiedź na to pytanie daje poniższa tablica umieszczona w pobliżu wodospadu Niagara:



„W wypadku nieprzyjacielskiego ataku na wodospad Niagara droga ta będzie zamknięta”.

Wydaje się, że autorzy tego ogłoszenia winni byli skorzystać z sąsiedztwa wielkiego wodospadu i podstawić rozpalone głowy pod strumień zimnej wody...

ANTYAMERYKAŃSKIE ZDJĘCIE



Bob Mathias liczy obecnie 24 lata. Ten sympatyczny student medycyny uniwersytetu w Kalifornii jest od siedmiu lat amerykańskim mistrzem dziesięcioboju i dwukrotnym zdobywcą złotego medalu olimpijskiego. (Londyn — 1948 i Helsinki — 1952). Odznaczony najwyższą nagrodą sportową USA — „Sullivan Trophy” — uważany jest za wzór sportowca i kolegi, od lat uwielbiany przez miliony amerykańskich miłośników sportu.

I oto nagle przed kilkoma dniami Bob Mathias otrzymał wezwanie do stawienia się przed komisją badania działalności antyamerykańskiej. Jak głosi oficjalny akt oskarżenia, Mathias dopuścił się ciężkiego przestępstwa przeciwko Stanom Zjednoczonym i całemu narodowi amerykańskiemu, ponieważ w czasie zawodów olimpijskich w Helsinkach... przyjaźnił się ze sportowcami radzieckimi i wielokrotnie się z nimi fotografował.

Na pytanie dziennikarzy, co sądzi on o wezwaniu przed oblicze senatora z Wisconsin, Mathias odpowiedział krótko: „Chciałbym spotkać McCarthya w ciemnej ulicy”.



LIST DO REDAKCJI
W SPRAWIE SŁOWA „BIKINIARZ”

W związku z felietonem Mariana Brandysa, w którym twierdzi on, iż przyznaje się do autorstwa powie-
dzenia „bikiniarz”, komunikuję:

Krytycznego dnia, który dał autorowi „Spotkań włoskich” pretekst do owego twierdzenia, szliśmy z nim o godzinie 11 wieczorem ulicą Foksal na odcinku między „Klubem Dziennikarzy” a „Kameralną” i mil-
czeliśmy. W pewnej chwili twórca „Wyprawy do Arteku” odezwał się:

— Jak myślisz? Kto mógł wynaleźć takie słowo jak „bikiniarz”?

A ja na to:
— Diabli wiedzą! Może ja.
I potem milczeliśmy dalej, bodaj do drugiej czy trzeciej w nocy.

Kładąc się spać z całym spokojem, nie mogłem po-
dejrzować, że moje lekkomyślne odezwanie wywoła uwiecznioną w „Świecie” mistyfikację.

Zaprzeczając więc stanowczo podane przez autora „Domu odzyskanego dzieciństwa” informacji, chcę jednak stwierdzić, że odezwanie moje, jakkolwiek lek-
komyślne, nie było całkowicie bezmyślne i wywodziło się z pewnych związków, jakie z powstaniem owego słowa miała łączyć.

Otóż przebywałem w roku 1946 w Paryżu akurat po słynnym doświadczeniu w Bikini. W parę dni po nim ukazały się w paryskich sklepach damskie kostiumy kąpielowe, barwne, krzykliwe i zredukowane do mi-
nimum w swej objętości. Nazwano je „à la Bikini”, co miało znaczyć, że z kostiumu kąpielowego prawie nic nie zostało. To dało początek „bikiniarskiej” modzie, potem bowiem każdy okaz krzykliwej amerykańskiej mody reklamowali paryscy kupcy jako „à la Bikini”. A dalej lud paryski, a za nim postępową paryską pra-
sa nazwała nosicieli zdegenerowanej amerykańskiej mody i amerykańskiego stylu życia „les bikiniistes”.

Przyjechawszy z Paryża nazywałem naszych rodzi-
mych „bikiniarzy” „bikiniistami”, ale nie wiem, czy to ja pierwszy importowałem owe słowo do kraju, jak nie wiem, kto pierwszy „spolszczył” jego końców-
kę. Podejrzewam o to Wiecha.

W każdym razie nie ulega kwestii, że ów epitet po-
chodzi z Paryża. W najlepszej reklamarskiej wierze dał mu początek paryscy kupcy, a paryska ulica na-
dała mu sens pejoratywny.

Stanisław Dygat

miała raz takie nieszczęście. Grzeczne
słowo do szatniarki, błagalne spojrzenie
— nic nie pomogło. Odpowiedź była zim-
na i biurokratyczna, jak na instytucję
przystало.

— Tu tylko dla personelu.

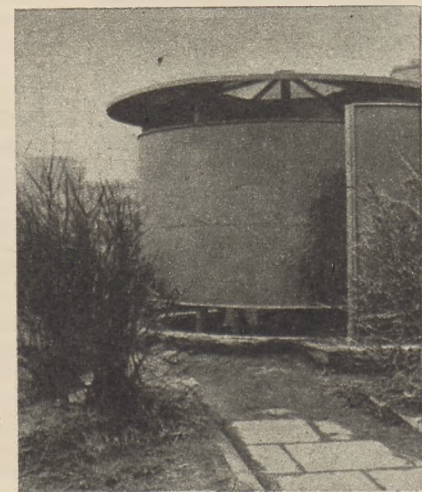
Był to właśnie ten pierwszy i ostatni za-
pewne raz w życiu, kiedy żalowałam, że
nie jestem... personel.

No a teraz czas już najwyższy na za-
powiedziane apele. Pierwszy do wszech-
mocnego „personelu” instytucji, kawiarni
i restauracji.

Gdy zawita w wasze progi znekany
przechodzień, nie pytajcie ze złością „oby-
watelka dokąd?” i nie odprawiajcie z
kwitkiem. Uśmiechnijcie się życzliwie i
wskażcie drogę szukającemu. Bowiem
każdy z Was może się znaleźć w podob-
nej sytuacji.

Drugi apel kieruję w imieniu wszyst-
kich warszawiaków do ZOR.

Więcej szaleństw z wodą bieżącą i umy-
walniami! Więcej pisuarów!



niona, nieziemska, jedyna — miałyby,
prawda, tego... Wykluczone. Wstyd i hań-
ba. I co on sobie w ogóle o mnie pomyśli?
Biedni.

Włec chcę Wam proponować. Weźmy
przykład z tej pierwszej pary. Nie utrud-
niajmy sobie życia, kochani. Oddelkajmy
my i zalegalizujmy sprawę wyżej wzmian-
kowaną. Pod hasłem: rzecz ludzka —
rzecz naturalna.

Ale.
Jest właśnie „ale” i tu będzie kilka
liczb oraz dwa apele.

Liczb będą takie: trzydziści jeden,
siedem i cztery. Jest w Warszawie na bil-
sko milion mieszkańców trzydziści jeden
szaleństw tak zwanych kontrolowanych,
to znaczy z wodą bieżącą i z obsługą, cze-
tery tak zwane suche (bez wody i bez opie-
ki), czyli takie, które należy jak najszyb-
ciej zlikwidować, ponieważ są siedliskiem
brudu, smrodu i zarazy i kompromitują
stolicę, oraz siedem pisuarów, czyli tylko
dla panów.

To za mało, za mało, za mało! Tym bar-
dziej, że od tych trzydziestu jeden trze-
ba odliczyć z dziesięć „00” mieszczących
się w parkach i ogrodach publicznych.
Bądź co bądź można, będąc na rogu Pięk-
nej i Wiejskiej, wskoczyć do Ujazdowskie-
go, ale z Elektoralnej do Ogrodu Saskie-
go jest, przyznacie, nieco za daleko. No,
a poza tym ogrody i parki wieczorami za-
myka się.

Nie każdy może mieć takie szczęście,
żeby w krytycznym momencie znaleźć się
na Placu Trzech Krzyży, gdzie czeka czy-
sta, przytulna kabinka (w najostrzejsze
zimowe mrozy nigdzie się tak człowiek
„oczka”, jak w tej lewej z kaflowym
piecem), na Placu Unii Lubelskiej, czy na
Krakowskim Przedmieściu.

A na Powiślu — pustynia. Na cały Zoli-
borz — jeden szaleńca tzw. „suchy”, którego
potworne wyziewy zatrują powietrze
nawet w pobliskim parku. A spróbujcie
(jak wyżej) na przykład na Wareckiej.
Skonać można. Na Plac Grzybowski —
nie zdążysz. Do Saskiego — wykluczone.
A że to dzielnica instytucji (straszne są te
martwe dzielnice), więc nawet żadnej
ludzkiej bramy nie ma. Jedyny ratunek
— iść po prośbie do biurowca. Syrenka

ABCHASKIE PRZYSŁOWIA

Abchazja — to najpiękniejsza część Gruzji, położona
między śnieżnymi szczytami Kaukazu a lazurowym wy-
brzeżem Morza Czarnego. Mieszkańcy tej dzielnicy słyną
ze znajomości wina, długowieczności oraz mądrości ludo-
wej. Miarą tej ostatniej cechy mogą być słynne na całym
Kaukazie przysłowia abchaskie, z których wybór za-
mieszczamy niżej.

RZUC kamieniem w dziką kaczkę. Jeśli trafisz — dobrze.
Jeśli nie — kamień wróci do kamienia, a kaczka do kaczek.

BAWÓŁ widzi brukiew, ale plotu nie dostrzega.

NIE kupuj skórki, póki lasica jeszcze na drzewie.

KIEDY budujesz wielki statek, nie patrz z góry na tego,
który plecie mały koszyk.

DRZEWO powiada: „Gdyby mną wiatr nie szarpał, wyrosło-
bym dwa razy wyższe...”

ABY jelenia upolować, trzeba go wprzód ujrzyć.

ZNIKL jak szyja u świni.

NAWET największe morze składa się z kropel.

REKAMI głupca łowi się żmije.

MYSZ, kiedy sama do nory wlezie, próbuje wciągnąć i dynię.

PRZYNIOS bykowi jarzmo, a powie: „Jestem krowa”. Przyjdź
z wladrem, oświadczy wtedy: „Jestem byk”.

GARNCARZ przyprawia ucho do dzbana tam, gdzie mu się
spodoba.

NOGA krowy cielęcina nie zabije.

LYZKA wie najlepiej, co się w garnku dzieje.

OBIECAŁ garść, a pożalował i palca.

HAŁASLIWI kot myszy nigdy nie schwyta.

KTO mieszka nad rzeką, wie, gdzie bród.

NIE śmieję się ze starości człowieka, jeśli nie znasz jego mło-
dości.

GDY klepski drwał idzie do lasu — drżą wszystkie drzewa.

CHWYTAJ się masztu, krzycz: „dalej nie jadę...” Nic ci to
nie pomoże, jeśli już siedzisz na statku.

JESLI szukasz zaginionej owcy, to i we śnie słyszysz ba-
czenie.

WITOLD ZECHENTER

TEMATY

Często ktoś satyryka
zapyta wprost i szczerze:
„Na to, co pan wytyka,
skąd pan tematy bierze?”

Skąd co tydzień, dni parę
nowy temat wierszyka?
Gdzie tematów bez miary
satyryk napotyka?”

Odpowiedź prosta: — Wszędzie!
Tylko umieć spostrzegać!
Na przykład: szef w urzędzie,
jak krzyczy, gromi, biegnie.

dekamuje, buduje,
na zgrębie się kokosai,
na siebie pokazuje,
jak on na niwie ucinał!

Lub w pewnych instytucjach
pochlebować plastik rzeszą,
jak w służalczych konwulsjach
z wazeliną pospiesza.

Albo „ogon” w panice
wykupić wszystkie gotów:
gwóździe, chustki i nci,
marmeladę i szproły.

Albo wieści straszliwe
kolportujące panie
o tym, co się prawdziwie
jutro o ósmej stanie.

Łępotą biurokraty,
ważniaków dętych legia...
Śą wokół tematy!
Tylko umieć spostrzegać!

A spostrzeglisz — przyspilić
w lot piórem satyryka,
ażebym od tej chwili
coraz mniej ich spotykać!!

Dietetyczne śniadanie odżywcze-
wzmacnia zdrowie i dodaje siły.



POZNAŃSKIE ZAKŁADY
ŚRODKÓW ODŻYWCZYCH
POZNAŃ

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red.
Naczelny: 6-41-64, Centrala 6-41-02, 6-41-23. Admini-
stracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata
miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80,
roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju
ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówie-
nia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych
PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jero-
zolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Włókiendrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa”
Warszawa, Okopowa 58/72.

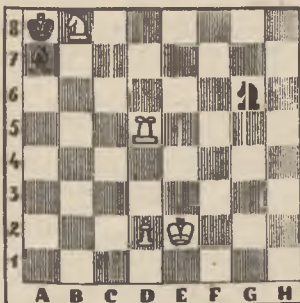
Zam. Nr 209. Papier rotogr. V/80—82 cm. — 5-B-14419.
podpisano do druku dnia 14.IV.54 r.



SZACHY

ZADANIE POZAKONKURSOWE

W. Czechower



Białe zaczynają i wygrywają.

PARTIA NR 105

grana w odbywającym się obecnie meczu o mistrzostwo świata jako dziesiąta partia spotkania.

Przyjęty gambit hetmański

Białe: M. Botwinnik
Czarne: W. Smysłow
1. d2—d4 d7—d5 2. c2—c4 d5—c4 3. Sg1—f3 a7—a6 4. e2—e3

Gc8—g4 5. Gf1:c4 e7—c6 6. Hd1—b3 Gg4:f3 7. g2:f3 b7—b5 8. Gc4—e2 Sb8—d7 9. a2—a4 b5—b4.

Do tego momentu partia przebiegała identycznie, jak czwarta partia tego spotkania.

10. f3—f4.

To posunięcie mistrza świata jest nowością w tym meczu. Kontynuacja taka umożliwia Botwinnikowi korzystne rozwinięcie gońca białopolewego na wielkiej przekątnej i ściśnięcie sił przeciwnika na skrzydle hetmańskim. Ale powoduje to jednocześnie pewne osłabienie królewskiego skrzydła białych.

10... Sg8—f6 11. Ge2—f3 Wa8—a7 12. Gf3—c6 Gf8—e7 13. Sb1—d2 0—0 14. Sd2—c4 a6—a5 15. Sc4—e5 Sd7—b8.

Wytwarzająca się pozycja wykazuje — jak dotąd — słuszną posunięcia białych 10. f4.

16. Gc1—d2 Sf6—d5 17. e3—e4.

Botwinnik wykorzystuje w tej ostrej sytuacji przewagę w centrum dla posunięcia ważnego piona e.

17... Sd5—b6 18. Gd2—e3 Ge7—d6 19. Gc6—b5 Hd8—h4 20. Wa1—c1 Kg8—h8 21. Gb5—

e2 Gd6:e5 22. d4:e5 Sb8—d7 23. Ge2—b5 Wf8—d8 24. Ge3—d2.

Poważna niedokładność Botwinnika, która w napiętej sytuacji zmienia obraz gry — oddając ostatecznie inicjatywę czarnym. Silne centrum pionowe białych staje się od razu ich słabością.

24... Sd7:e5 25. Hb3—e3 Se5—g4 26. He3—g3.

Białe, dla odparcia gróźb czarnych, zmuszone są iść na wymianę hetmanów.

26... Hh4:g3 27. f2:g3 Sg4—f2! 28. Ke1:f2 Wd8:d2+

Botwinnik nie może uniknąć straty drugiego piona.

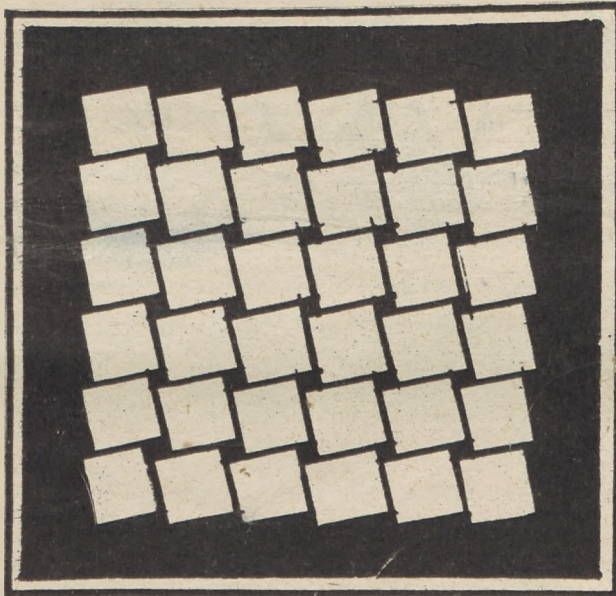
29. Kf2—e3 Wd2:b2 30. Wc1—b1 Wb2:b1 31. Wh1:b1 c7—c5 32. Wb1—d1 Wa7—a8 33. Wd1—d6 Wa8—b8 34. Ke3—d2 c5—c4 35. Kd2—c2 g7—g6 36. Wd6—c6 c4—c3 37. Kc2—b3 Wb8—c8.

Białe poddały się. Nieunikniona jest wymiana wież, po której białopolewy gońiec białych będzie bezsilny wobec falangi trzech pionów czarnych.

Po zwycięstwie w dziesiątej partii Smysłow wyrównał stan meczu o mistrzostwo świata na 5:5.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

SYNTEZA KWADRATU MAGICZNEGO



Odgadnąć 6 wyrazów sześcioliterowych o poniższych znaczeniach. Następnie z li-

ter wchodzących w skład odgadniętych wyrazów utworzyć 6 nowych wyrazów sze-

ścioliterowych, które wpisane do podanej figury dadzą się czytać jednakowo poziomo i pionowo, przy czym dla ułatwienia podajemy trzeci wyraz kwadratu magicznego: ANIMAL.

Znaczenie wyrazów (w nawiasach pierwsze litery danych wyrazów): 1) Jamochłony morskie (P), 2) Rosyjskie imię żeńskie (T), 3) Pieniądze, bogactwo — wzgardliwie (M), 4) Lekki budynek ogrodowy (A), 5) Rodzaj działu artyleryjskiego (A), 6) Słynna góra w pobliżu granicy ZSRR, Turcji i Iranu (A).

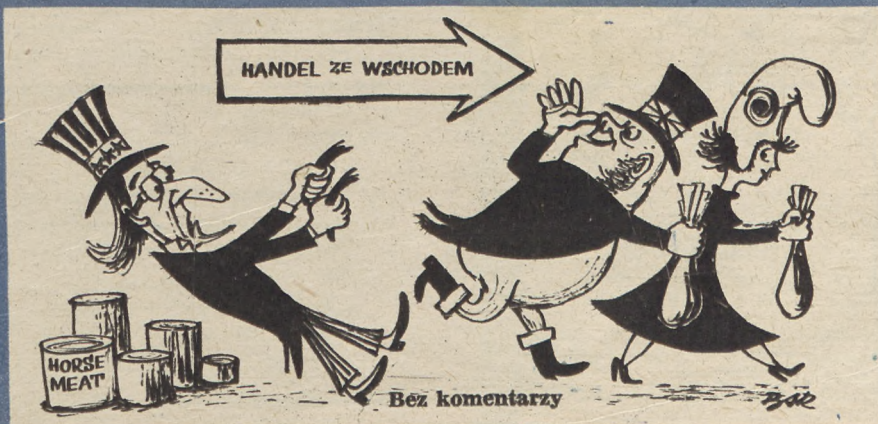
(„Heros” — Kazimierz Wielki)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają prawidłowe rozwiązanie, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych



Racjonalizatorzy — czyli, gdy siewnik zepsuty (niewyremontowany)



Bez komentarzy

Rys. Karol Baraniecki



TANIO i ŁADNIE



U góry — bardzo efektowny i praktyczny komplet wiosenny z materiału w kratę. Składa się on ze spódnicy, kamizelki i żakietu. Kostium ten można nosić w różnych zestawieniach i kombinacjach (z inną spódnicą, innym płaszczem itd.).

Obok — modna torebka z jasnej skóry.

Poniżej (na lewo) — suknia o modnych liniach z szarej, lekkiej wełny.

Na prawo — komplet złożony z czarnej spódnicy, białej bluzki i żakietu z czerwonego welwetu. Dodatki: czarne rękawiczki, czerwony szalik i pasek z czerwonej krajki ludowej.





Bronisław Maciąg — kłown Ino



Wronowski Granowski



Czesław Grabowski — kłown Cezary



Kazimierz Muszyński — kłown Kazio



Korneliusz Drąkiewicz — kłown Kornecki

Przebrzmiały ostatnie tony fanfar na wrocławskim Festiwalu Sztuki Cyrkowej.

Rozjechały się wozy cyrkowe w jedenaście stron Polski. W jedenastu „miasteczkach cyrkowych” na arenach jedenastu cyrków Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych — 500 artystów będzie spełniać swe powołanie.

Produkcje cyrkowe zasłużyły przez lata solidnej i pełnej poświęcenia pracy na awans społeczny, na podniesienie do godności sztuki.

Awans ten stał się możliwy po zerwaniu z niechlubnymi tradycjami cyrków z okresu kapitalistycznego.

Jak tego dokonano?

- skreślono z repertuaru scenki płaskie i wulgarne
- wyeliminowano numery, w których w pogoni za sensacją demonstrowane były dziwolagi natury, kalectwo i niezwykła brzydota,
- skasowano niebezpieczne dla życia wyczyny bez należytego zabezpieczenia artysty przed wypadkiem
- nauczono artystów lepszego niż dotychczas języka polskiego
- kostiumom i rekwizytom nadano artystyczną formę plastyczną
- krzykliwy jazz zastąpiono wartościową muzyką

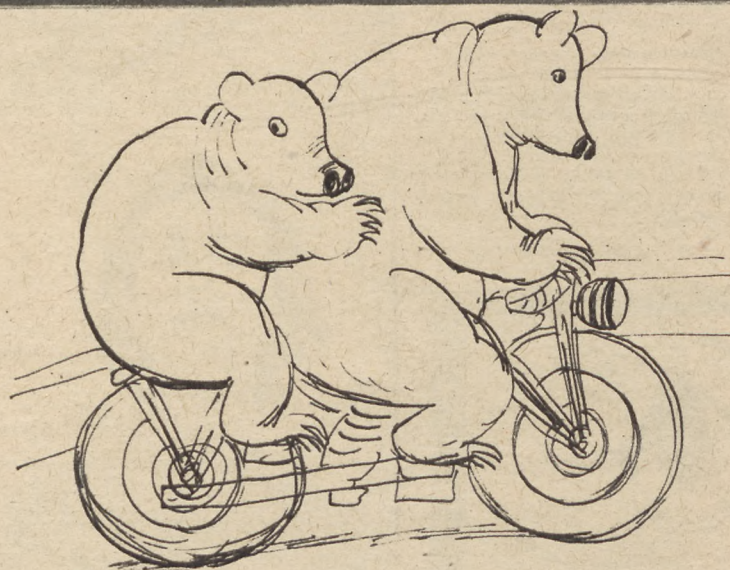
Do tego dodać należy przełom wśród starych artystów cyrkowych i stworzenie rezerwy młodych kadr.

Te właśnie osiągnięcia podsumował wrocławski Festiwal.

Circus



Halina Hutnik — ewolucje napowietrzne.



Niedzwiedzie na motorze. Tresura H. Wawrzyniaka



Tak wygląda dyrektor cyrku „Wezoraj” — wykonawca Edward Teney



Rodzina robotnicza Zygmaniaka z Wrocławia przygląda się występom

MAŁY SŁOWNICZEK WYRAŻEŃ CYRKOWYCH

ANTYPODY — żonglerka, wykonywana przy pomocy nóg, podczas gdy artysta leży na specjalnej podpórce.

BALANS — ćwiczenie, w którym artysta wykazuje opanowanie równowagi.

BIAŁY CLOWN — klasyczna postać clowna wyszydającego wady społeczne.

GÓRA — określenie zarówno wysokiej pozycji przy gimnastyce artystów-akrobatów, jak i wspaniałej pozycji konia.

KASKADERZY — komicy błyskawiczni, stwarzający efekty sytuacyjne.

KAUCZUK — produkuje niezwykle wygimnastykowanych artystów „bez kości”.

KWADRAPOLKA — wewnętrzne podpórki usztywniające szapito.

PALOT — popis napowietrzny na trapezach.

PERSZ — długi drążek do wyczynów ekwilibrystycznych.

REKI — drążki do gimnastyki wyczynowej, zamocowane na stałych podstawach.

RYŻY CLOWN — Postać clowna pozornie głupiego, który ostatecznie okazuje się mądrym.

SZAPITO — namiot cyrkowy.

SZPRECHMAJSTER — słowo oznaczające konferansjera.